Nr. 25. Lwów. — Piątek dnia 31 stycznia Rok 1890.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.
Cena prenumeraty:
We Lwowie bez dostawy: Miesięcznie zł. 75 ct. Kwartalnie 2, 25, Półrocznie 4, 50, Rocznie 9, —
Na prowincji z przesyłką pocztową: Miesięcznie 1·10 zł. Dwumiesięcznie 2·10, Kwartalnie 3·—, Rocznie 12·—.
Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.
Numer kosztuje 4 centy.
Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.
Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku, inaczej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.
Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct do każdego listu.
Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują: Trafika J. Wolnego, ulica Czarnieckiego 2, „ przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. „ „ „ Jagiellońskiej liczba 4. „ „ „ Słowackiego (obok łazienek Djan) Biuro Dzienników, ul. Karola Ludwika liczba
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Piotra Nolaski. Jutro: Ignacego bisk. | Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 7 m. 39, Zachód „ „ 4 „ 50 | Długość dnia 9 g. 11 m. Przybyło dnia 2 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 30 stycznia.

O Serbach można powiedzieć to, co któryś pisarz wyrzekł o Brazylijczykach: są to młodzi starcy, — typ narodu, który się zużył przedwcześnie, nadużył swobody, stargał siły fizyczne pijąc niewstrzemięźliwie z czary uciech zmysłowych, umysłowo zniedołężniał i jest obrazem przedwczesnej ruiny. W istocie, zdrowia, czerstwości, myśli narodowej daremnieby kto szukał w postępowaniu Serbów. Są zazdrośni, podejrzliwi, kochają się w intrygach, postępują zawsze pod wrażeniem chwili, jak zdebuszowani młodzieńcy. Warcholstwo, to cała ich mądrość, to jedyna treść ich historji.

Teraz doszło już u nich do tego, że mają swoje pronunciamenta, które są patologicznym objawem rozkładu. Ostatnia skupczyna zredukowała wydatki na wojsko, co się oficerom bardzo nie podobało. Więc zaczęli demonstrować, gdy rząd przystąpił do wykonania uchwał skupczyny. Za protestowanie rząd dał dymisję kilku sztabowym oficerom, chociaż gdzieindziej stanęliby za to przed sądem wojennym. Lecz warcholstwo ma w Serbji usankcjonowaną przeszłość i jest otaczane pewnym respektem: zbuntowanym sztabowcom dano tylko dymisję. Koledzy ich oburzyli się o to na rząd, który śmie być rządem. Poszli tedy gremjalnie do ministra wojny z pytaniem: co to znaczy, i żądaniem cofnięcia wyroku. Zachowywali się tak hałaśliwie a butnie, że się zdawało, jakoby bunt robili. Minister wysłuchał, przyrzekał zrobić co można, wyrażał swe współczucie, zapewnił, że rzecz przedstawi radzie gabinetowej i w istocie to uczynił, ale na ten wniosek jego uchwalono wszystkich tych oficerów przenieść za karę na prowincję. Znowu tedy półśrodek i znowu czyn nie świadczący o poczuciu siły, lecz raczej o zamiłowaniu w podstępie. Przy pomocy żandarmów uchwałę wykonano. Teraz całe regularne wojsko uczuło się tem obrażone i coś zamierza uczynić. Ministerjalne dzienniki rzecz tak przedstawiają, że tu się objawiła walka liberałów z radykalistami. Oficerowie należą do obozu liberalnego i dla tego robią trudności radykalnemu rządowi. Gdzieindziej wystarczyłoby powiedzieć, że wojsko bierze udział w walkach stronniczych i gdyby tak było, starano by się rozpalonem żelazem wypalić tego raka.

W Serbji inaczej. Ministerjalne dzienniki zapewniają, że gabinet z niecierpliwością czeka wojskowego buntu, do wtedy powoła pod broń ludowe milicje, a potem zniesie zupełnie regularną armję, co jest programowem zadaniem radykalistów. Jeśli tak, to bądź co bądź, niebezpieczną grę prowadzi gabinet. Chłopstwo zapewne pomoże rozbroić armję i zniesie ją, ale nie odbędzie się to bez domowej wojny, bodaj małej. W Belgradzie przewidują podobną ewentualność, lecz się jej nie boją, bo ostatecznie cóż się stanie? Trochę krwi popłynie i więcej nic, a przecież nie darmo mówią, że w Serbji życie człowieka ucho... mało warto. Słusznie Wschód uchodzi za ziemię przerażających moralnych i politycznych niespodzianek.

Lubo w Serbji wszystkiego można się spodziewać, jednakże trudno byłoby zrozumieć, jak mogła powstać taka kwestja, gdyby nie to, że gabinet jest radykalny, a regencja liberalną. Dwie te władze wzajemnie się podkopują i zawsze są w głuchej walce ze sobą. Zatarg z wojskiem ma być tylko jednym z objawów tej walki. Owóż korespondenci przewidują, że jeśli między temi władzami wybuchnie jawna wojna: gabinet oprze się na milicji, a regencja na regularnem wojsku. Jeśli tak się stanie, to gotowa się powtórzyć z pewnemi zmianami angielska wojna między Białą a Czerwoną Różą.

Nad tem, bijąc się w piersi, może ubolewać tylko Rosja.

Zatarg anglo-portugalski doprowadził do konsekwencji niespodziewanej. Zakleci wrogowie, którzy o sobie myśleć nie mogli bez zgrzytania zębów, — Portugalczycy i Hiszpanie — zaczynają się godzić i już wyciągają dłonie do sojuszu najściślejszego. Nie tylko dzienniki republikańskie, które w interesie rewolucji są za sojuszem dwóch bratnich narodów, ale prasa monarchiczna obu głównych obozów (*As Novidades*, organ progresistów i *O Dia*, organ regeneratorów) z zapałem propaguje ścisły związek Hiszpanji z Portugalją. Podstawami sojuszu mają być: wzajemna gwarancja całości terytorjalnej, wspólna walka z wszystkimi wrogami, zachowanie odrębnych dynastyj, jako wyrazu niepodległości, i zniesienie cłowej granicy. W Lizbonie odbył się kolosalny zjazd mężów zaufania ze wszystkich miast i powiatów; skonstatowano na nim, że naród postąpił godnie, bo zerwał wszelkie handlowe stosunki z Anglją i gotów jest do upadłego walczyć z „żarłocznym wielorybem". Następnie wydano odezwę, w której powiedziano: „Bielmo spadło nam nareszcie z oczu! Dziś już wiemy, czem jest podstępna przyjaźń Albiończyków. Już się nie uda Anglji ciągle nas różnić z Hiszpanją, co ona robiła zawsze z obawy o Gibraltar. Hiszpanja dzisiejsza nie jest tą, jaką była, gdyśmy się znajdowali pod jej panowaniem. Ona dziś siostrą naszą. Wyciągamy do niej obie ręce, połączymy się z nią w gorącym uścisku — i niech nad nami zawsze świeci gwiazda przyjaźni i niech nas ożywia idea: nasz półwysep tylko dla nas!"

Jest w tem dużo zapału, który sił nie mierzy. Oczywiście Portugalja, choćby z Hiszpanją, nie podoła potędze angielskiej. Byłaby to walka kurczęcia z orłem. Ale do wojny najprawdopodobniej nie przyjdzie. Jedynym rezultatem zatargu będzie to, że Anglja zabierze sobie sporny szmat murzyńskiej ziemi, a za to straci rynek portugalski. Podobno już teraz wszystkie wina portugalskie, bez których Anglik obejść się nie może, jak Oporto, Xeres, Portwein zakontraktowały firmy hamburskie i oczywiście z grubym zarobkiem odprzedają Anglikom, na czem ci stracą jaki miljon funtów rocznie. Stracą także dużo przez to, że Portugalczycy przestali u nich kupować wyroby bawełniane i żelazne. Jest to klasyczny przykład do czego może doprowadzić w polityce jeden nierozważny krok, uczyniony pod naciskiem opinji, która zawsze sądzi tylko powierzchownie i dyletancko.

Komendant włoskiej kolonji Massawy, jenerał Orero zajął już Aduę, skąd rass Alu-La cofnął się na wschód, na pogranicze ze stepami sudańskimi. Po poddaniu się tego miasta prowincja Tigre zgłosiła swą uległość negusowi Menelikowi. Inni zbuntowani rassowie także się cofają. Szczęście służy afrykańskiej polityce Crispiego.

Oświadczenia hr. Taaffego.

Wiedeń 30 stycznia.

(*Prywatny telegram „Przeglądu"*).

(?) Korespondent *New York Heralda* p. Bonsal miał dzisiaj *interview* u hr. Taaffego, i otrzymał upoważnienie ogłosić to, co mu mówił hr. Taaffe i właśnie udzielił mi następujące oświadczenie hr. Taaffego:

„Położenie ogólne jest zupełnie pokojowe, lecz wiem z własnego doświadczenia, że nigdy nie można być zupełnie pewnym, bo zwykle wojny wybuchają niespodzianie. Lecz ufajmy, że się to nie stanie tym razem. Ugoda, to historja bardzo długa. Kiedy objąłem ster rządu, musiałem najpierw postarać się o utworzenie większości w Radzie państwa; utworzyłem ją wreszcie, ale bardzo małą. Dziewięć lat temu usiłowałem doprowadzić do ugody; do tej samej sali zaprosiłem był Riegera i Herbsta, lecz porozumienie okazało się niemożliwem. Zwróciłem się do Polaków, zostali zadowolnieni i są najlojalniejszymi poddanymi naszego Monarchy. Na ugodę przyszedł dopiero teraz czas, gdy sporne strony uznały jej konieczność. Przekonali się bowiem Czesi i Niemcy, że nie są w stanie nawzajem się wytępić, ani jedni nad drugimi zapanować; młodoczesi, żywioł skrajny, wzrośli tymczasem w siłę niebezpieczną tak dla Czechów jak dla Niemców jak i dla państwa; Czesi uznali, że już z powodu samego położenia geograficznego są bezwarunkowo skazani na trzymanie się Austrji; inaczej, izolowani, utonęliby; Niemcy widzieli się zagrożeni przez skrajnych deutschnationałów i antisemitów. Więc jedni i drudzy, zaproszeni do rokowań, zawarli pokój, porozumieli się, poczynili sobie nawzajem ustępstwa. Moją zasługą jest tylko to, że wybrałem właściwą chwilę; u obu stron rokujących wzięło atoli górę uczucie przywiązania do Monarchy i dynastji, patrjotyzmu, który przezwyciężył wszelkie trudności.

Sejm czeski będzie już odtąd zawsze pełnym i pozałatwia zgodnie sprawy, pozostawione jeszcze w zawieszeniu, gdyż cztery interesowane grupy w Czechach już ugodę przyjęły, a mam nadzieję, że i młodoczesi ją przyjmą, że uznają i oni niemożliwość ich polityki; przecież zachowują się dotąd wobec ugody wcale spokojnie, a to dobra wróżba.

Co do innych krajów, w których zachodzą spory, to nie sądzę, żeby tą samą metodą należało postępować. Czechy są Królestwem, są tam historyczne tradycje i względy, z któremi się trzeba liczyć, a do tego walka toczyła się tam między wielkiemi politycznemi partjami, po za któremi stały dwa dojrzałe narody. W innych krajach koronnych są inne stosunki, tam jest wskazaną polityka utylitarna: rząd będzie się starał zadowolnić słuszne życzenia i mieć za sobą jak największą część ludności.

Ugoda niewątpliwie oddziała na Radę Państwa, nie będzie odtąd opozycji *quand même*; owszem sądzę, że opozycja jako już zadowolniona, pójdzie razem z nami, a w skutek tego zmieni się ugrupowanie stronnictw w Radzie Państwa i przyjdzie do tego, iż parlament przestanie się dzielić na grupy narodowe, lecz może się utworzą grupy krajowe, a może nawet powstaną stronnictwa polityczne. Jeżeli się powiodło w Czechach uzdrowić krwawiącą się ranę, to i dalsze skutki ugody będą dla państwa pomyślne."

Na tem skończyła się rozmowa o sprawach aktualnych austrjackich, poczem hr. Taaffe mówił o życiu w Wiedniu, o Ameryce, Afryce, o kosztowności depesz kablowych, o czem wie dobrze z czasów ś. p. cesarza Maksymiljana, żalił się, że telefon ma także swoje złe strony, n. p. tę, że jego (hr. Taaffego) ciągle wołają do telefonu i co chwila odrywają od pracy. Na pytanie, czy się do Ameryki kiedy nie wybierze, powiedział: „my w Austrji nie możemy brać tak długich urlopów, nie ma czasu na to."

Tyle relacji, którą mi złożył Bonsal. Pomijając tedy szczegóły, oświadczenia hr. Taaffego stwierdziły tedy wszystko to, co wam o sprawie ugody i o jej konsekwencjach pisałem. Hr. Taaffe przekonanym jest, że ugoda będzie miała dalsze skutki i to skutki dobre, zgodne z programem jego rządu. Oczywista, że bliżej o tych skutkach mówić nie chciał, ani nie mógł. Wystarcza zupełnie to, co zaznaczył o możliwych zmianach w ugrupowaniu Izby. Dalsze stąd wnioski wysnuwają się same przez się. Narazie, zanim te skutki ugody nie wywrą swego wpływu na Izbę, nie zajdą też żadne zmiany w rządzie. To wszelako jako pewne mogę podać, że zostanie mianowany, może wkrótce, nowy minister bez teki, Niemiec, pożądany dla całej Izby, więc mający zaufanie i lewicy. Będzie to pośrednik w Radzie Korony dla dalszej akcji ugodowej.

Sąd konkursowy... i samobójstwo.

Warszawa dnia 27 stycznia.

Bohaterem dnia jest teraz w naszem mieście p. Antoni Kurzawa, artysta-rzeźbiarz, były uczeń szkoły krakowskiej, znany w podwawelskim grodzie bardzo dobrze i bardzo lubiany przez wszystkich. Dzięki swej ekscentryczności i nerwowemu usposobieniu, które go nieraz popychało do czynów gwałtownych, otrzymał on był w szkole od kolegów przezwisko „Zawierzuchy" i to przezwisko tak się było z nim zrosło, że w sferach artystycznych nie nazywano go nigdy Kurzawą tylko Zawierzuchą. Ale lubiano go bardzo, był to chłopak dobry, zamiłowany w swej sztuce do szaleństwa, koleżeński, zacny, szlachetny, tylko ekscentryczny. Ale ta ekscentryczność miała zawsze coś w sobie takiego, co zdradzało naturę wyższą, idealniejszą.

Od pewnego czasu przeniósł się on do Warszawy, a na ostatni konkurs rzeźbiarski nadesłał grupę, której dał tytuł: „Mickiewicz budzący genjusza". Na postumencie stoi nasz poeta i wpatrzony w młodzieńca, którego trzyma na jednem kolanie, budzi go natchnionem słowem z uśpienia. Młodzieniec przeciera ręką oczy, roztacza skrzydła i zabiera się do lotu. Grupa ta, jakkolwiek ekscentryczna, zrobiła wielkie wrażenie wśród publiczności. Jednakże komitet przyznał jej tylko trzecią nagrodę w kwocie 200 rubli. Wyrok swój ogłosił komitet konkursowy przedwczoraj, w sobotę. Według tego wyroku uznał komitet, że żadna z nadesłanych na konkurs rzeźb nie zasługuje pierwszej nagrody (600 rubli): a przyznał jedynie drugą nagrodę (300 rubli) p. Madeyskiemu za popiersie, trzecią (200 rubli) p. Kurzawie za owego Mickiewicza i dwa listy pochwalne, jeden p. Woydydze (za „Anioła śmierci") i drugi p. Wiśniewskiemu (za „Łakomego bekasa (psa)").

Owóż zaledwie wczoraj (w niedzielę) otworzono salę, w której się konkurs odbywał, gdy przyszedł do niej p. Kurzawa i ściągnąwszy swą grupę z postumentu, rozbił ją w drobne kawałki. Poczem przeszedł przez tłumy zdumionej publiczności, wyszedł z gmachu i zginął bez wieści. Już drugi dzień, a go nigdzie nie widziano, ani też nie wracał do swego pomieszkania. Jedni obawiają się, że popełnić musiał jakiś krok gwałtowny, inni sądzą, że odjechał do Krakowa,—ale wszyscy o nim mówią, wszyscy są nim zajęci, jedni napadają na niego i powiadają, że to rzecz niesłychana, aby komitety konkursowe sądziły pod grozą myśli, iż odpalony lub niedostatecznie nagrodzony artysta może popełnić samobójstwo; inni zaś uderzają na komitet i twierdzą, że postąpił sobie niesprawiedliwie, nie przyznając pierwszej nagrody p. Kurzawie.

Brukowa prasa tutejsza, reprezentowana przez trzy *Kurjery: warszawski, codzienny* i *poranny*, stanęła jawnie po stronie p. Kurzawy, a przeciw komitetowi. Poważniejsze dzienniki nie mogły jeszcze wypowiedzieć swojego zdania, bo dopiero wyjdą z pod prasy dziś wieczorem.

Posłuchajmy jednak, co pisze *Kurjer warszawski*:

„Wczorajsza scena na konkursowej wystawie rzeźby powinna dać trochę do myślenia tym wszystkim panom, którzy konkursa inicjują lub biorą w nich udział bądź jako sędziowie, bądź też jako konkurujący.

„Ogłasza się konkurs rzeźbiarski: Pierwsza nagroda 600 rs., druga 300 rs., trzecia 200 rs. Rzeźbiarze, tj. ludzie — którzy, o ile nie są przedsiębiorcami robót sztukateryjnych i pomnikowych, o ile są artystami — ostatniego numeru nędzarze, prują się z ostatka, wyczerpują resztki sił zniszczonych nędzą, resztki skołatanej myśli, i po kilkoletniej pracy w najhaniebniejszych warunkach, przedstawiają swoje dzieła sądowi, złożonemu z członków komitetu Towarzystwa i dobranych w tym celu pp. Pruszyńskiego, Syrewicza i Kryńskiego.

„Sędziowie najlepszej podług siebie pracy dają drugą — wyraźnie drugą — nagrodę, trzecią następnemu z kolei za dobre uznanemu dziełu; pierwszą zaś (600 rubli) rozdzielają jako małe napiwki między resztę wystawców! Czy jest coś bardziej niezgodnego z logiką?

„Jeżeli wystawa jest konkursową, to najlepszy z wystawionych przedmiotów powinien bezwzględnie dostać największą nagrodę; to jasne jak słońce.

„Żeby na wystawie istniała jakaś nagroda nie dla względnie najlepszej rzeźby, lecz dla jakiegoś absolutu, którego nawet sąd konkursowy nie zdołałby pojąć i określić, słusznem byłoby takiej nagrody nie dawać, jeżeli podobnego absolutu na wystawę nikt nie przedstawił.

„Taki jak jest konkurs, jest śmieszną meskinerją, jest pokazywaniem zdaleka przynęty, na którą się bierze ludzi, wyciska się z nich ostatki sił, a potem puszcza się z niczem.

„Sześćset rubli jest niczem dla przeciętnie zamożnego człowieka, niczem w porównaniu z kosztownością rzeźby; ale dla rzeźbiarzy mogą one być zbawiennemi. Sześćset rubli, to zapłacenie długów, to chwila pracy spokojnej dla sztuki, to zresztą pierwsza nagroda, wyraz najwyższego uznania tych ludzi, którym społeczeństwo dało mandat wskazania najgodniejszego, najzasłużeńszego.

„I z tej pierwszej nagrody, z tej jedynej dla tych, którzy nie mają nadziei dożyć obiadu w resursie obywatelskiej, chwili szczęścia i chwały, sąd konkursowy zrobił siedm czy ośm małych śmiesznych datków.

Jest w tem jakaś pewność siebie, jakaś poufałość; klepanie po ramieniu artystów, przypominające zbogaconego żyda, dającego noworoczne gratyfikacje swojej służbie.

Następnie: p. Madejski przedstawił skromny biust, bardzo łatwy do wymodelowania, przeciętny portret spokojnego modelu skopiowanego dobrze przy pomocy cyrkla. Nic ma w tem nic, coby go wynosiło po nad zwykłe w tym kierunku roboty. Widać, że rzeźbiarz miał czas opracować szczegółowo, sumiennie i zrobić to, co obowiązuje każdego rzeźbiarza bez względu na skalę talentu i siłę indywidualności — zrobić bryłę twarzy. Ale tego, co w portrecie malowanym, czy rzeźbionym, jest czemś nadzwyczajnem: wyrazu — życia, tego w robocie p. Madejskiego nic ma. Jest to porządna drobiazgowa robota i nic więcej.

Kurzawa zrobił Mickiewicza, budzącego genjusz poezji.

Przedewszystkiem, czy wiem, czy nie wiem, kto był Mickiewicz, patrząc na rzeźbę Kurzawy, widziałem doskonale, jaki stosunek zachodzi między dwoma figurami, z których się ona składała.

Człowiek, obdarzony dziwną siłą, cudotwórca, czy hypnotyzer, jakiemś słowem, spojrzeniem, czy myślą obudza skrzydlatego chłopca, który się trzepoce jak ptak w jego ręku, zrywając się do lotu na słowa, które w nim budzą zachwyt, zdziwienie, wstrząśnięcie, graniczące z przestrachem.

Tę siłę oddziaływania, ten związek wzajemny między dwiema istotami żywemi, wyraził Kurzawa w swojej rzeźbie w ich pozach, ruchach, wyrazach twarzy, wyraził tak doskonale, z taką siłą, że dla ka-

---

Nie ma złego, coby na dobre nie wyszło.

...Niewiele było w tym roku ze zbożem roboty. We dworze, gdzie tyle niwy, stert w polu wcale nie widać, a w stodołach po zwózce wszystkie belki policzyć można.

Cóż dopiero o moim sprzątku gadać! Zebrałem trzy kopy żyta, kopę i snopków dwanaście pszenicy, mało co więcej jęczmienia, dwie kopy owsa i tyle.

Słomy mało. Pomiarkowałem, że nie przezimuję całej chudoby; wyprowadziłem starszą krowinę na jarmark i sprzedałem za jedenaście rubli. Narzekała moja kobieta, że tanio, ale co było robić? Zimowisko trudne, — bydło tanie.

Jarmark był w poniedziałek. We wtorek poszedłem do dworu z kwitami po zarobne. Dziedzic trochę się skrobał w głowę, narzekał, że drobnych nie ma, chciał wypłatę do niedzieli odłożyć (i jemu ciężko, jak każdemu, co z gruntu żyje), ale jakoś znalazł jeszcze dla mnie pieniądze i sześć rubli mi oddał.

Te sześć i tamtych jedenaście schowałem razem do skrzyni pod chusty i pod babskie odziewadła, jak zwyczajnie się chowa.

We środę rano moja kobieta zasłabła, śniadania ugotować nie mogła, przeszła ze dwa razy przez chałupę i położyła się znowu. Dziewczynina, Zośka, głupie to jeszcze, tyle że krowę wydoi, gotowanie nie sporo jej idzie. Wziąłem kosę, chleba kawałek i poszedłem w pole tatarkę kosić. Jaśkowi kazałem paść kobyłę na ścierniu. Pole, jak to u nas, ciągnie się wązienką kiszką od chałupy na wiorstę drogi. Tatarka była posiana na końcu koło gościńca; susza całkiem ją przypaliła, ale zawsze skosić trzeba!

Naszło południe. Obejrzałem się za Jaśkiem: chłopaka na ściernisku nie widać. Musiało mu się sprzykrzyć samemu, i pognał kobyłę pod las na gromadzki wygon.

Obejrzałem się drugi raz w stronę chałupy... z komina się kurzy... Ano, dobrze, kobiecisko zwlekło się i objad gotuje... Dym wali taki, jakby w chałupie wesele jakie było albo chrzciny... Baba niszczy drzewo napróżno...

Zośka-niecnota pewno dla zabawy wiórów i śmiecia nakładła w komin całą płachtę... coraz większy dym i jakiś strasznie siny a gęsty...

Kiedy tak patrzę, a kosę z ziemi i kamizelę zbieram, mignął mi w tym dymie język ognisty.

Coś mną zatrzęsło; niby zimno wewnątrz mnie przejęło. Drugi raz błysnął płomień, potem naraz ogień pokazał się na dachu... Jezusie Nazarański! Chałupa się pali!

Poleciałem, co tchu, choć mi przed oczyma pociemniało; tak mi było, — jakbym biegł w noc czarną.

Przypadam do budynków; chałupa cała w ogniu, Zośka stoi na dworze, trzyma burego kota na rękach i krzyczy, a moja kobieta akuratnie wychodzi z sieni i pierzynę za sobą ciągnie.

— Ratuj, Paweł! — woła na mnie, — albo komin pękł, albo sadze się zajęły, albo może Jasiek papierosem...

Tu ratować trzeba, a tu mnie właśnie jakaś moc do ziemi przybiła! Iść, — nogami ruszać nie mogę, wołać ludzi, — głosu nie mam! Zmartwiałem jak drewno. Chyba to tak z człowiekiem być musi, kiedy śmierć w oczy zagląda...

Stałem przez kilka pacierzy, niepamiętny na wszystko, co się działo. Przez ten czas przybiegło ludzi sporo, a baby krzyk okrutny podniosły. Moja kobieta odciągnęła pierzynę daleko w kartofle, upadła na nią i lamentowała nieludzkim głosem. Tymczasem ogień pokazał się we drzwiach od sieni, szyby z okna posypały się z brzękiem, a dym buchnął ze środka izby.

Oprzytomniałem i rzuciłem się do chałupy, żeby choć skrzynie wyratować. Zapóźno: dym mnie niedopuścił. Wyskoczyłem napowrót z tego piekła i do ludzi modlić się zacząłem, wołając, żeby dali siekier i osęków, żeby choć stodołę ratować pomogli.

Wołam, proszę, — a tu koło mnie już tylko bab i dzieci kupa drze się; rozbiegli się do swoich chałup: ten na dach lezie, tamten graty wynosi, inni wyganiają bydło, inni całkiem nic nie robią, zdaleka rękami machają i krzyczą...

Po całej wsi zamęt chodzi straszny, a gwałt słychać taki, jakby Pan Bóg wszystkim rozum odebrał w tej ciężkiej dla mnie godzinie.

Miasteczko o wiorstę drogi. Zobaczyli tam i usłyszeli, co się dzieje. Hałas na drodze: ćma narodu leci, strażniki na przedzie, żydów zaprzęgli do sikawki, sam wójt z pisarzem jakąś furmankę na rynku złapali, — jadą.

Tymczasem płomień przeskoczył na dach obory, a obora i stodółka pod jedną strzechą.

Przyciągnęli sikawkę, ustawili akuratnie naprzeciw stodółki.

— Lać wodą! — woła wójt, — chałupa przepadła, niech choć zboże zostanie. Dalej, żywo, pompujta, żydy!

Lać, — a tu wody nie ma i konewek u nikogo w garści nie widać. Zaczęśli strażniki ludzi po wodę wyganiać: ten nie chce iść pierwszy, tamten na tego się ogląda... Woda o pół staja, ale beczek nie ma: zapomnieli z prędkości zabrać z gminy.

Stary Poterała krzyknął, że po wodę nie pójdzie, bo nie ma czasu. Dopiero go wachmistrz kazał prowadzić do aresztu. Opamiętali się ludzie: ten i ów ruszył się po konewki i po wodę, poszły i baby niektóre. Ale to tak: jedno, dwoje biegło prędzej, a reszta lazła pomalusku.

Czego się mieli śpieszyć? Chałupa moja na końcu wsi dosyć daleko od sąsiedzkich budynków; poznali wszyscy, że ogień do wsi nie dojdzie, bo wiatru nie było, — czego im się śpieszyć.

Ano, przynieśli tej wody trochę, wlali w sikawkę.

— Pompujta! — wołają wójt z pisarzem.

Pompują i pompują, aż w maszynie skrzypi, ale woda nie idzie. Podeszli do sikawki strażniki, oglądają, — nic nie pomoże, woda nie leci.

Dopiero pisarz powiada:

— Nie pójdzie woda, bo kiszki rozeschły się i popękały.

Odeszli na bok strażniki z wójtem i długi czas z pisarzem o tych kiszkach sobie rozpowiadali; potem kazali odprowadzić sikawkę dalej, a sołtysa postawili przy niej dla pilnowania, żeby kto z niej czego nie ukradł.

A ogień zajął obórkę i stodolinę, i niezadługo z moich budynków zostały tylko poczerniałe węgły, osmalone rozwalisko komina i kupa pogorzeliska.

Kiedy się dach zawalił, — połowa ludzi rozeszła się do domów; potem roseszła się reszta. Pan pisarz spojrzał na zegarek.

— Pół do drugiej, — powiada, — czas na obiad. Pożar się zaczął przed dwunastą. Straciliśmy na spiekocie dwie godziny czasu. Ratunek był ostry, ale takich gałgańskich budynków żadna siła nie uratuje.

— Musi, że nie, — rzekł wójt.

— Powinno być takie prawo, — powiada znów pisarz, — żeby chłopom nie wolno było stawiać innych budynków, jak murowane.

— Pewnie, że murowane lepsze, — odezwał się wójt.

— A skądżeby my materjału na te mury wzięli? — zapytał sołtys, co wciąż sikawki pilnował.

— To wasza rzecz, — odpowiedział ostro pan pisarz, — jakby prawo było, toby było, — i kwita. Drewniane budy to czort wie, co takiego!

— Ale i dziurawe sikawki do niczego nie potrzebne — powiada sołtys.

Tego powiedzenia pewno nikt nie słyszał, bo pan pisarz do mnie się zwrócił i o tym pożarze się rozpytywał, na ostatku dopiero mówi: „żebyście wy, Pawle, i żona wasza byli dziś w kancelarji o piątej, bo będzie się pisać protokół śledztwa do powiatu".

— Jakże ja, panie, pójdę do kancelarji—mówię — kiedy się muszę starać o przytułek dla nas i dla chudoby. Przecie my dachu nad głową nie mamy... Możeby można przyjść za parę dni... teraz żonka chora.

Rozgniewał się pan pisarz.

— Cóż to znowu takiego? To wy prawa nie chcecie słuchać? Jak ja powiadam: dziś — to dziś; żonkę możecie przywieźć furmanką. Papiery jutro muszą pójść do powiatu.

— O, papiery trza wysłać do powiatu — rzekł wójt. — Dajcie, Pawle, spokój, prawo takie jest...

Odjechali. Zostało nas na pogorzelisku pięcioro: kobieta, spłakana i lamentująca, na pierzynie, rozciągniętej w kartoflach; Zośka z kotem swoim, Jasiek z kobyłą, ja, nieszczęśliwy, i sołtys przy sikawce.

Nie mówiliśmy do siebie nic, bo cóż było gadać? Okrutnie mi się na płacz zbierało, bom sobie przypominał: siła to ciężkiej pracy, siła pieniędzy z dymem poszło... Zgorzały budynki, chleb zgorzał i przyodziewek, i statki, i te siedmnaście rubli przepadły, i nie została nawet ta skrzynia, com ją miał po ojcach — stara, dębowa — dziś takiej nie dostanie na żadnym jarmarku! Tak mi się żal zrobiło zmarnowanej krwawicy, że byłbym na głos ryknął, alem się oglądał na żonę i dzieci, żeby im nie przysporzyć żałości.

żdego człowieka, choć trochę obeznanego ze światem sztuki, nie mogło pozostawiać żadnych wątpliwości.

A skoro tak, skoro świetny pomysł, którego na pewno dwa razy na tydzień nie miewają sędziowie konkursowi, został doskonale i jasno wyrażony za pomocą środków sztuki rzeźbiarskiej, — dzieło Kurzawy było dziełem znakomitem. Lecz w rzeźbie, jak i w malarstwie jest jedna strona, która się robi talentem, a druga się robi za pieniądze.

Widziałem, jak Kurzawa modelował swoję grupę, kładąc na własną nogę kawałek pantalonów starych, żeby mieć dobre fałdy, jak jednocześnie modelował i pozował sobie w lustrze! Widziałem ten materjał, jaki miał w pracowni: glinę i glinę, a rzadko, bardzo rzadko, model i to na chwilę, dorywczo.

Tyle słów *Kurjera Warszawskiego*. Owóż to wszystko co dziennik ów napisał jest i za namiętne, i za ostre, i niesprawiedliwe, a niesprawiedliwe głównie dla tego, że z jednego faktu nie wolno wyprowadzać ogólnych wniosków i ubliżać całemu narodowi za to, że jeden sąd konkursowy nie umiał dość ocenić przymiotów rzeźby p. Kurzawy. Możecie jednak z tego artykułu ocenić, jak sprawa ta rozgorączkowała tu umysły i jak wszyscy są pod wrażeniem tego faktu, zwłaszcza, że wszyscy są przekonani, że ten zdolny i zacny artysta popełnił samobójstwo.

Z Izby sądowej.

Wadowice 28 stycznia.

W dalszym ciągu odczytano akta starostwa w Brodach i dotyczące dochodzenia przeciw Klausnerowi o przekroczenia administracyjne. Klausner tłumaczy się tem, że dochodzenia te zarządzone zostały na bezimienne denuncjacje pokątnych ajentów. — Dalej odczytano liczne telegramy, wysyłane przez Löwenberga, Landaua i Landerera do ajentów na stacjach w Suchej, Podgórzu i Skawinie: W telegramach tych oznaczają oskarżeni żydzi wychodźców jako towar t. j. jako skrzynie („Ballen“ „Kisten“). Odczytano również polecenie dyrekcji kolei północnej do naczelników stacji pp. Nowackiego i Jezierskiego, wzywające ich, aby pouczali wychodźców, iż najlepiej jest kupić sobie kartę kolejową wprost do miasta portowego a kartę okrętową na miejscu w Bremie lub Hamburgu, a nie w ajencji.

Z dekretu nominacyjnego Iwanickiego okazuje się, iż był on obowiązanym w niektórych wypadkach w miarę polecenia wykonywać czynności policji granicznej w Oświęcimie.

Z wyroku sądu obwodowego w Sączu z r. 1888 okazuje się, że oskarżony Wolf Einhorn skazanym został tam za oszustwa, popełniane przy sprzedaży kart okrętowych. Z odczytanych aktów starostwa bialskiego ciekawą jest odezwa tego starostwa do dyrekcji kolei północnej w Wiedniu. Starostwo domaga się w tej odezwie popierania ajencji Herza i dozwolenia jej agentom przystępu na peron kolejowy.

Powód do tej odezwy dało zarządzenie naczelnika stacji w Oświęcimie, który zabronił służbie Herza przystępu do budynków kolejowych.

Dyrekcja kolei odmówiła żądaniu starostwa.

Z pisma Czajkowskiego do starostwa w Białej okazuje się, że Sekler i Band gwałtownie agitowali w okolicy Oświęcima, aby wszystkich wychodźców do ajencji Herza sprowadzić i przy tem dopuszczali się wielkich nadużyć.

Sekler tłumaczy się, że Czajkowski nie wiedział co pisze, bo zawsze był pijany. Za to wyrażenie skarcił przewodniczący surowo Seklera.

Raport żandarmerji w Oświęcimie z 6 czerwca 1888 donosi, że Natan Kuppermann, karczmarz na Wywaliszu wabił do siebie wychodźców i i przetrzymywał ich u siebie w karczmie. Potem szedł do Herza i „cedował“ mu swoich wychodźców za zapłatą. Jeżeli ajencja dobrze mu zapłaciła, to jej odstawił wychodźców, a jeżeli nie, to ich na własną rękę wysyłał do Hamburga.

Z aktów starostwa w Białej okazuje się, że Herz już w r. 1883 pociąganym był do odpowiedzialności za nieprawną sprzedaż kart okrętowych. Landerer i Sadger karani byli także grzywnami za to przekroczenie. Z odczytanych aktów okazuje się także, że oskarżeni żydzi denuncjowali się często nawzajem.

Do Namiestnictwa nadchodziło bardzo wiele doniesień na Herza i jego spólników, a Namiestnictwo odstępowało te doniesienia Starostwu w Białej do oświadczenia się i przeprowadzenia dochodzeń.

Starosta bialski oświadczał się zazwyczaj, że doniesienia te są machinacjami skierowanemi przeciw ajencji Herza od osób jej nieprzyjaznych, do których i urzędnicy pruscy należą, i że ponieważ są one bezimienne albo w sfingowane podpisy zaopatrzone, przeto nie warto dochodzeń przedsiębrać.

Na takie oświadczenie Starosty bialskiego poleciło mu Namiestnictwo rozciągnąć ścisłą kontrolę nad ajencją.

O tak zwanym braku lekarzy na prowincji.

Podał

Dr. . . . . . ski.

Od czasu do czasu dają się słyszeć głosy kilku kolegów tutejszych, utyskujących na to, że na prowincji jest za mało lekarzy, a względnie mniej, niż po wielkich miastach. Sądzę, że utyskiwania te są całkiem zbyteczne. Prowincja posiada wprawdzie mniej lekarzy, niż miasta, zwłaszcza większe; ale natomiast posiada ona to, czego nasze miasta, zwłaszcza większe, nie posiadają, to jest posiada lepsze warunki zdrowotne, a przedewszystkiem czyste powietrze, zdrowy klimat, niefałszowane pokarmy itd. Ponieważ zaś czynniki te są — jak to wiadomo powszechnie — lekarzami nierównie lepszymi, niż my, gdyż właśnie do nich odsyłamy z miast takich chorych, z którymi sobie rady dać nie możemy, przeto właściwie mieszkańcy prowincji powinni litować się nad nami, mieszkańcami miast większych, nie zaś my nad nimi.

Gdy tedy warunki zdrowotne na prowincji są nierównie lepsze, niż we większych miastach naszych, przeto jest rzeczą całkiem naturalną, że prowincja nie potrzebuje tylu lekarzy, co miasta, zwłaszcza większe. Mimo to nie przeczę, że byłoby może pożądanem, gdyby w niektórych okolicach na prowincji było nieco więcej lekarzy, mianowicie takich, którzy są dokładnie obznajomieni z higieną, tą najważniejszą gałęzią wiedzy lekarskiej, i dlatego uważam za stosowne zastanowić się nad pytaniem: „Dlaczego w niektórych okolicach na prowincji mamy stosunkowo za mało lekarzy?“

Dotychczas nie starano się dać na to pytanie odpowiedzi zadowalniającej. Jedyna odpowiedź, z jaką od czasu do czasu w czasopismach publicznych się spotykamy, jest, że posiadamy za mało wydziałów lekarskich. Odpowiedź ta nie zadowalnia mnie bynajmniej. Ktokolwiek bowiem jest w stanie sądzić o tej rzeczy samoistnie i przedmiotowo, musi wobec odpowiedzi tej zapytać: „Czemu ów wydział lekarski, który już od tylu wieków w kraju naszym istnieje, nie kształci dostatecznej ilości lekarzy? Jeśli ich zaś kształci, gdzież się oni podziewają i dlaczego nie idą na prowincję?“ Ponieważ powtóre także na kilku sąsiednich wydziałach zagranicznych kształci się mnóstwo młodzieży krajowej, przeto tyczy się to pytanie także i tych lekarzy.

Odpowiedź na to pytanie jest łatwą dla każdego, kto zna choć nieco stosunki dotyczące. — Oto ci młodzi lekarze nie idą na prowincję dlatego, że praktyka na prowincji jest nieco uciążliwszą, niż w wielkich miastach. Stąd też wolą oni osiedlać się w miastach większych, a przedewszystkiem we Lwowie. Naturalnem następstwem tego zwyczaju jest znany fakt, że większe miasta nasze — nie mówiąc już o Lwowie — mają stosunkowo za wielu lekarzy, prowincja zaś ma ich stosunkowo za mało.

Otóż podobnie jak lekarze promowowani w Krakowie lub na sąsiednich wszechnicach zagranicznych, postępowaliby także ci, którychby z czasem promowowały nowe wydziały lekarskie, a stąd wynika, że tworzeniem nowych wydziałów nie dojdziemy do celu.

Jeśli nam przeto zależy na serjo na zaopatrywaniu prowincji w nieco większą ilość lekarzy, to powinniśmy używać ku temu środka takiego, któryby zdołał doprowadzić nas istotnie do tego celu. Takim środkiem zaś byłoby zaprowadzenie zwyczaju, zniewalającego świeżo dyplomowanych lekarzy do kikoletniej praktyki na prowincji, i to w takich okolicach, któreby im wskazywał protomedykat. Mamy zaś w ręku głównie trzy sposoby, za pomocą których moglibyśmy taki zwyczaj wprowadzić z czasem w życie. — Należałoby po pierwsze przy rozdawaniu stypendjów dawać pierwszeństwo takim kandydatom, którzyby się zobowiązywali praktykować (po uzyskaniu dyplomu) przez kilka lat na prowincji. — Należałoby powtóre przy fundowaniu stypendjów umieszczać taki warunek w dokument fundacyjny. — Należałoby po trzecie przy obsadzaniu posad lekarzy powiatowych uwzględniać przedewszystkiem tych lekarzy, którzy już kilkoletnią praktyką na prowincji wykazać się mogą.

Nie tworzeniem więc nowych wydziałów lekarskich, lecz rozsądnem rozdzielaniem tych lekarzy, których nam co roku dostarczają wydziały już istniejące, możemy zaopatrywać prowincję w większą ilość lekarzy. Środek ten jest nietylko pewniejszy, niż tworzenie nowych wydziałów lekarskich, ale zarazem i łatwiejszy do zrealizowania, gdyż zawisł on od nas samych, tj. od dobrej woli naszej. Logika zaś nakazuje robić naprzód to, co jest pewniejszem i łatwiejszem. Tak też postępują ludzie rozsądni w całym świecie cywilizowanym.

Uczyniwszy to, co logika wprzód uczynić nakazuje, możemy następnie tworzyć nowe wydziały lekarskie, jeżeli to będzie możebnem. Przy tem tworzeniu atoli musimy mieć na oku jedne rzecz nadzwyczaj ważną, a tą jest, aby nie sprowadzić *hyperprodukcji* w stanie lekarskim, gdyż to utrudnia walkę o byt i — jak wiadomo — łatwo sprawia, że ta walka staje się bezwzględną. Przy takiej zaś walce wychodzą najgorzej ci, którzy stoją między walczącymi, tj. chorzy.

Mały Fejleton.

Kwiaty w karnawale.

...Nieprawdą jest, iż kwiaty panują tylko na wiosnę i w lecie.

Panują bowiem także... w karnawale. I to panują w całem tego słowa znaczeniu, zdobiąc trefioną główkę i falujące łono królowej stworzenia — kobiety... Wśród kaskady tonów romansowego walca, wśród morza świateł i fali pachnideł, wydzierają się te najbarwniejsze dzieci ziemi na pierwsze miejsce, dumne, wspaniałe, rozkoszne...

Są trzy kwiaty na świecie, które uwielbiać musi każdy. Zwą się: niezapominajka, fijołek i róża. Nawet najczarniejszy melancholik uśmiechnie się wesoło, gdy je ujrzy na śmierć skazane w twoich, pani, warkoczach.

A że teraz coraz częściej, o królowo balów, wpinasz przed posłusznem lustrem owe kwiaty urocze, że prawie codzień tu i owdzie czarują one ród męski, więc opowiem i przypomnę, skąd się na świat boży wzięły te najpiękniejsze wśród pięknych ozdoby...

O niezapominajce zaraz na wstępie służę nawet... rymami, „wonnemi jak kwiatek“: —

> Ci, co kochają, mają tylko prawo
> Wyrwać ten kwiatek rosnący tak skromnie,
> Co zda się mówić tęsknie, cicho, łzawo:
> „Pamiętaj o mnie!...“

A baśń o tym kwiatku chodzi smętniejsza stokroć...

Podobno kiedyś było ich dwoje, miłujących się płomiennie... I całowali się raz nad kwiecistym brzegiem rzeki. Ona kochała jego, ale kochała i kwiaty... A właśnie, gdy całus za całus oddała, ujrzała na fali drobny biały kwiatek, który już, już miał zginąć i zniknąć na wieki... Więc białe dłonie rozpacznie załamała, a on ból jej widząc, wskoczył mężnie do rzeki. Już kwiatek zerwał, ale czuje, że go fala porywa, że sił mu brak... Ostatnie szarpnięcie się... i kwiatek na brzeg wyrzuca, sam tonie i woła raz jeszcze:

— Kochaj mnie i nie zapominaj o mnie!...

A kwiatek padł u jej stóp i choć był białym na fali, u stóp jej stał się niebieskim...

Z poświęcenia i miłości zrodzony — najpiękniejszą obdarzony jest barwą...

O fjołku, któryś z naszych nowelistów „wymarzył,“ iż się zrodził z pocałunku pazia... w nóżkę zaczarowanej królewny... Ale stare baśnie mówią inaczej. Mówią, że Yo, córka Atlasa, jedna z najrozkoszniejszych nimf Djanny, pasąc trzody na równinach Feres, zachwyciła Apollona. Zachwyt był miłością, a że miłość bywa szaleństwem, więc począł namiętny Apollo ścigać uroczą Yo... Przerażona, skromna i czysta, przecudna nimfa poczęła umykać i kryć się przed niebezpiecznym napastnikiem. Ale boski Apollo miał nogi od lotnej Yo silniejsze... I już miał jej dosięgnąć, gdy się mężna Djanna zmiłowała i ukochaną swoję Yo zamieniła — w fjołek...

O tym małym, wstydliwym, kryjącym się pod własnemi listkami kwiatku, chodzi jeszcze inna legenda, która zainteresuje panów...

Wyobraźcie sobie bowiem, o wszyscy nieszczęśliwi i próżno wzdychający kochankowie, że drobny fjołek zdziałał, iż umiłowana przez wszystkich Wenera... zakochała się w idealnie brzydkim, kulawym kowalu Wulkanie... Ten potwór ruszył raz konceptem, przybrał swe potężne skronie w fjołki i obsypał całe „gniazdko“ swojej lubej temi wonnemi kwiatkami. I w nagrodę otrzymał — zgadnijcie?...

Pierwsze, najczulsze pocałowanie...

Szczęśliwy!...

A teraz — o róży, o tej królowej wszystkich kwiatów, którą opiewali i której hołdy złożyli wszyscy bez wyjątku poeci świata!...

Godło miłości, wdzięków, piękności, zalotności i roskoszy, ma długą historję... Kto o niem nie marzył?... Kto w tem kwieciu uroczem nie szukał upojenia, nie szukał tłómacza swoich uczuć?!...

Mówią, że w różę przemieniła się królowa Koryntu, Rhodanta, która urokiem swym podbijała mnóstwo kochanków, a żadnemu ręki swej oddać nie chciała... Znudzona wielkiemi adoracjami, schroniła się Rhodanta do cichej świątyni Djanny. Ale trzej najzuchwalsi wielbiciele i tam się wdarli i tam za nią pomknęli... Wówczas smukły Apollo przemienił czarującą Rhodantę w różę i uczynił ją godłem piękności... Ukarał także trzech śmiałków: jednego przemienił w robaka, drugiego w muchę, trzeciego w motyla. I odtąd trzej wielbiciele pod nowym tym kształtem dręczą wciąż swoję okrutną kochankę...

Ale wspanialsza, cudniejsza legenda zrodziła się w fantazji śpiewaka z Teos... Śpiewa on krótko, lecz pięknie, iż wielcy bogowie zesłali różę na ziemię razem z... miłością, w tej samej chwili, gdy obrażona Venus w piance perłowej wyszła z morskiej otchłani...

Czyż w obec tego, że sami bogowie różę nazwali symbolem miłości, nie będę miał racji, gdy powiem, iż:

> Sprytnie się bogi znaleźli,
> Dając jej symbol ten, pani:
> Wszak miłość rani najczęściej
> I róża rani...

Kronika.

Lwów 30 stycznia.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej Swej szkatuły gminom Wola błażowska i Zwora, w powiecie samborskim, na budowę wspólnej szkoły zapomogi w kwocie 100 zł.

Zapomoga. JE. p. Namiestnik, Kazimierz hr. Badeni, udzielił z funduszu zapomogowego dla wdów i sierot po urzędnikach i sługach c. k. władz politycznych, pani Wilhelminie Popielowej, wdowie po niedawno zmarłym c. k. staroście Ferdynandzie Popielu, obarczonej trojgiem niezaopatrzonych dzieci, jednorazowej zapomogi w kwocie 60 zł.

Mianowania. Minister wyznań i oświecenia zamianował suplenta szkoły realnej i gimnazjum wyższego w Brodach, Gersona Blatta, rzeczywistym nauczycielem tegoż zakładu, a suplenta państwowego gimnazjum w Tarnowie, Józefa Przybylskiego, rzeczywistym nauczycielem gimnazjum w Drohobyczu.

Lwowski wyższy sąd krajowy zamianował praktykantów sądowych Tadeusza Woronieckiego i Tadeusza Zakrzewskiego auskultantami sądowymi.

P. W. Czechowicz wykonał znowu dwa potrety, jeden JE. p. prezydenta Simonowicza, drugi JE. ks. Windischgraetza, główno-komenderującego. Ten drugi portret został u artysty zamówiony przez oficerów 80 pułku.

Portret jest wielkości naturalnej, wykonany chromokredą, odznacza się podobieństwem i wyborną charakterystyką. Oglądać go można w sklepie p. Hawranka przy placu śgo Ducha.

Śluby. We wtorek dnia 28 bm. w kościele św. Mikołaja we Lwowie, pobłogosławiony został związek małżeński między p. Eugeniuszem Baronem, asystentem poczt i telegrafów, a panną Wilhelminą Hornig.

Dnia 25 bm. odbył się w Zakliczynie ślub p. Kazimierza Baltazińskiego, właściciela dóbr Jasień, z panną Kazimirą baronówną Gostkowską, córką właściciela Zasławie i marszałka powiatu brzeskiego. Młodej parze pobłogosławił sędziwy ks. Jan Kitrys, dziekan i kanonik ze Szczurowej i w pięknej przemowie przypomniał państwu młodym, że przed 26 laty w tym samym kościele połączył związkiem małżeńskim rodziców panny młodej.

Gody weselne odbyły się w domu państwa marszałkostwa Gostkowskich i trwały przez trzy dni.

P. Stanisław Skrzyński, były właściciel dóbr Staroniwa, wybrany został członkiem Rady powiatowej rzeszowskiej, z grupy gmin wiejskich.

Dyrekcja poczt i telegrafów we Lwowie ogłasza rozporządzenie Ministerstwa handlu z dnia 10 stycznia b. r. zniżające opłatę za przesyłki listowe i przekazy do Bośnji i Hercogowiny. Rozporządzenie to wchodzi w życie z dniem 1 lutego b. r. i ustanawia w obrocie między Bośnią i Hercogowiną a Austro-Węgrami takie same opłaty od przesyłek listowych i przekazów, jakie są w obrębie monarchji austro-węgierskiej. W obrocie zaś między Austro-Węgrami a miejscowościami Plewlje, Przybój i Przypolje w Sandżaku Nowobazarskim pozostają w mocy dotychczasowe taryfy co do opłat listowych i przepisy co do wolnego od opłaty przesyłania niepoleconych prywatnych listów do osób lub od osób wojskowych, przebywających w wyżwymienionych miejscowościach.

Sprawa Izydora Lilienfelda, właściciela dó r Zastawce, o pokrzywdzenie skarbu państwa przy wyrobie wódki, została ostatecznie załatwioną. Tutejszy sąd dla spraw dochodów skarbowych zasądził w lipcu roku zeszłego gorzelnika w Zastawcach na 94.000 zł. kary za to, że w oszukańczy sposób usuwał alkohol z pod kontroli aparatu mierniczego. Za karę tę odpowiada Izydor Lilienfeld, jako właściciel gorzelni w Zastawach.

Przeciw temu orzeczeniu wniósł Lilienfeld rekurs, a najwyższy sąd dla spraw dochodów skarbowych w Wiedniu potwierdził temi dniami w całości zarekurowane orzeczenie.

Akcja ratunkowa. Obszerniejszy komitet ratunkowy zwołany na wczoraj przez p. prezydenta miasta obradował w sali ratuszowej przy współudziale około stu zaproszonych obywateli, którzy reprezentowali wszystkie stany naszego społeczeństwa. Po otwarciu posiedzenia przez p. prezydenta E. Mochnackiego, zabrał głos p. dr. G. Roszkowski, jako sprawozdawca tego grona obywateli, którzy akcję ratunkową w naszem mieście wdrożyli. Sprawozdawca podniósł z naciskiem, że niestety niesprawdziły się przepowiednie niektórych dzienników, iż przeszłoroczny nieurodzaj wywoła jeno brak paszy dla bydła. Obecnie z każdym dniem przybywają dowody, że obok ogromnego braku karmy dla bydła wzmaga się niedostatek u włościan, a w wielu okolicach kraju już obecnie zagląda przednowek do chat włościańskich. Cyfrowo niepodobna dotąd oznaczyć rozmiarów klęski, bowiem — jak to przyznał p. sprawozdawca — raporta zebrane przez Wydział krajowy nie dają dostatecznych wyjaśnień, a powiatowe władze autonomiczne w każdym do Wydziału krajowego nadesłanym raporcie przedstawiają odmienne rozmiary klęski. Mimo braku statystycznych dat, jakich funduszów wymagać będzie akcja ratunkowa, aby dotkniętym klęską zeszłorocznego nieurodzaju dostarczyć ziarna na zasiew, karmy dla bydła, pieniędzy na przykupno inwentarza i strawy dla zagrożonych głodem — p. sprawozdawca twierdzi, że fundusze na ten cel przeznaczone ze skarbu państwa i kraju są niedostateczne, a w obec tego niezbędną jest obywatelska akcja samopomocy, rozwinięta energicznie w całym kraju ku poparciu akcji rozpoczętej już przez władze rządowe i autonomiczne. Celem wdrożenia tej obywatelskiej akcji ratunkowej sprawozdawca w imieniu inicjatorów proponuje: Zawiązać we Lwowie centralny komitet pod przewodnictwem p. Prezydenta miasta, zorganizować komitety powiatowe, i wybrać ściślejszy komitet z 50 osób z mandatem, aby obmyślił najodpowiedniejszy sposób zbierania środków ratunkowych i ich rozdziału. Po p. sprawozdawcy zabierali głos pp. Juljusz Starkel i dr. Stela-Sawicki.

Pierwszy z nich żądał, aby obok obywatelskiej akcji ratunkowej nie zapominać o tem, że w pierwszym rzędzie ciężý na państwie i kraju obowiązek zapobiegania skutkom klęsk elementarnych i przeto wniósł rezolucję: Zgromadzeni uchwalają, że wedle ich zdania jest to obowiązkiem państwa i kraju nieść niezbędną pomoc ludności dotkniętej klęską elementarną, że zatem skarb państwa i kraju w obec niedostatecznych kwot, uchwalonych już na ten cel, powinien pośpieszyć z dalszą pomocą ku zakupom ziarna na zasiew i karmy dla bydła. W wykonaniu tej uchwały prezydjum zgromadzenia wniesie memorandum do Koła polskiego w Radzie państwa.

Drugi mówca dr. Stela Sawicki żądał, aby wysokość datków oznaczał komitet i wymierzał je wedle stanu majątkowego obywateli.

Po tych przemówieniach zgromadzenie przyjęło wnioski komitetu urządzającego i rezolucję p. J. Starkla a do ściślejszego komitetu wybrani zostali pp.:

Wilczyński Albert, Walichiewicz Michał, dr. Roszkowski Gustaw, dr. Dulęba Bronisław, dr. Hirschberg Aleksander, Lilien Ignacy, Rewakowicz Henryk, Starkel Juljusz, Ostaszewski Barański, Łopuszański Tadeusz, Bełej Jan, Markow, Krechowiecki Adam, Romańczuk Juljan, Bereźnicki Teofil, ks. kan. Pawlików, Gubrynowicz, Augustynowicz Bolesław, Badeni hr. Stanisław, Dembowski Zygmunt, Zima Franciszek, Stroh Jakób, Horowitz Samuel, Gołąb Andrzej, ks. kan. Zabłocki, ks. kan. Lewicki, dr. Rybicki Alojzy, ks. Andrzej Lubomirski, hr. Skarbek Henryk, Śladkowski Wacław, Szydłowski Tadeusz, Żuliński Józef, dr. Opolski Wiktor, dr. Blumenfeld Józef, Bełza Władysław, Rozwadowski (Prez. tow. brat p. tech.), Kłosowski Władysław, dr. Skałkowski, dr. Zgórski Alfred, dr. Bylicki, Onyszkiewicz Zdzisław, Czarkowski Tadeusz, br. Kanne, dr. Zajączkowski, Schayer Karol, Bardasz Ferdynand, Getritz Aleksander, Świsterski Wiktor, dr. Byk Emil, dr. Schaff Szymon.

Zdanie Wojciecha Dzieduszyckiego. W jednym ze swych „Listów ze Wsi“ pisarz ten powiada: —

„Lepiej tedy nie tak bardzo krytykujmy naszych mężów stanu i naszych dygnitarzy. Nie trzeba panowie, abyśmy szukali dowodu naszego męskiego patrjotyzmu w tem, że będziemy gwałtu krzyczeć na tych Polaków, którzy mają w kraju okruszynę władzy, albo w Wiedniu okruszynę wpływów. Trzeba, abyśmy sami w kraju, tak samo swój obowiązek pełnili, jak swój obowiązek pełnią panie matki, abyśmy potrafili być polskimi ojcami rodzin, pomnąc, że rodzina jest owym przybytkiem polskości, z którego jedynie może się na świat rozejść zdobywczo, bratając narody. A choć kobiety swój obowiązek pełnią i choć podają przyszłym pokoleniom do przechowania płomienie z narodowego ogniska i pamięć o ideałach, które są naszem życiem i racją naszego bytu, to ich kapłaństwo nie wystarcza jeszcze. Ono Polskę obroni od zagłady i zapomnienia, ale dzieło zdrowego narodowego odrodzenia rozpocznie się wtedy dopiero naprawdę, gdy ojcowie w Polsce staną się godnymi

---

Naraz odezwała się Zośka:

— Mamusiu, kotowi straśnie się jeść chce.

— Cicho, głupia — powiadam — daj matce spokój.

Dopiero sołtys, niech mu tam Pan Bóg wynagrodzi, podszedł do Zośki, pogładził ją po głowie i mówi:

— Chodź, mała, chodźta i wy wszyscy, pogorzelcy, do mojej chałupy, bo trza tego kota i was nakarmić.

Dali nam sołtysisko poczciwe jeść i obiecali nie wyganiać, dopóki nie wynajdę komornego.

Sąsiad Kazubek wziął krowę na zimowisko, za co mu mam przy żniwie odrobić. O kobyle nie było co i wspominać: ktoby ją wziął? Trza będzie sprzedać, to choć grosz jaki znajdzie się na okrycie.

Wpół od wieczora sołtys zaprzągł swoje konie do sikawki, a ja kobyłę do wypożyczonego woza, posadziliśmy kobietę na wóz, i jazda do kancelarji.

Przyjeżdżamy—akurat p. pisarz nie ma czasu, bo jakiś starszy z powiatu nadjechał i papiery przegląda.

Postaliśmy godzinę, dwie: nie wołają nas. Zajechałem na rynek przed Abramka, wprowadziłem babę do szynku. Ulitował się żyd nad nami: dał po półkwaterku i po bułce bez pieniędzy. Baba pić nie mogła, wypiłem ja za nią. Przesiedzieliśmy tak do zmierzchu. Dopiero stróż z kancelarji przyszedł po nas.

Pan pisarz rozpytywał się nas o to samo, o co przy pożarze się pytał; strażnik też był tam i oba z pisarzem nie mogli się nadziwować, że się tak raptem wszystko spaliło. Potem zaczęli pisać. Pisali przy lampie, bo się na dworze ściemniło. Ja wyszedłem raz na plac zobaczyć, czy kobyła spokojnie stoi, wyglądałem i drugi raz, poprawiłem lejce, bo się zmotały.

Potem pan pisarz pił arbatę, później znów pisał.

Nareszcie skończyła się ta bieda. Strażnik podpisał się za nas, i mieliśmy wracać do wsi. Kobiecisko ledwo — ledwo trzymała się na nogach.

Wychodzimy na dwór: ciemno okrutnie. Ze światła w izbie jeszcze gorzej ciemność za oczy łapie. Pomału namacałem wóz, wsadziłem babę, odwiązałem lejce — i omackiem kobyły szukam, czy nie przestąpiła postronków... dyszel jest, kobyły nie ma!

Ja w krzyk. Wyleciał strażnik z kancelarji, wyniósł stróż latarkę, szukamy, wołamy, gdzie tam! My na rynek, — nie ma kobyły! Na jedną ulicę, na drugą, nie ma i tyle! Ktoś ukradł, przepadła...

Myślałem, że rozum stracę. Zeszła się połowa żydów z miasteczka, każdy co innego doradzał. Nadszedł i Abramek; ten najlepszy karkulant był i trochę mnie pocieszył. Obiecał mi babę przenocować w szynku i nazajutrz do wsi odesłać, a mnie kazał jechać na całą noc do Grabowca, bo tam miał być na drugi dzień jarmark; kto wie, może akuratnie złodziej z kobyłą w tamtą stronę pojechał.

Jak tu jechać, kiedy ani konia, ani pieniędzy nie mam? Dopiero Abramek sam od siebie najął Icka, tego, co to wielkim garbatym kasztanem jeździ.

Przed północkiem wyjechaliśmy z miasta, aleśmy uradzili nie jechać traktem, tylko bocznemi drogami dla bliskości.

Jedziemy. Koło Nielisza zaczęło się trochę rozwidniać. Minęliśmy młyn, jedziemy lasem wolno, bo piasek. Icek zasnął. Mnie tam do spania daleko. Jeść mi się zachciało, i chłód mnie przejął. Naraz zdało mi się, że niby końskie stąpanie zdaleka słychać... Sam nie wiedząc, co robię, skręciłem konia w las, i stoim cicho. Icek wciąż spał. Słyszę wyraźnie: idą jakieś konie. Zsunąłem się z wasąga na ziemię i schowałem się za grubą choinę przy samej drodze. Nie wyszło dwa pacierze czasu. — widzę: para koni idzie... Żyd siedzi na jednym, drugiego prowadzi... Ten, co go prowadzi, jakaś siwa szkapina, a ten, co na nim siedzi, — chwała Ci, Boże miłosierny, — toż to ona sama, — moja kobyła!

Ażem się zatrząsł z radości. Kiedy żydzisko powoli koło choiny przejeżdżał, wyskoczyłem na drogę, złapałem jedną ręką za uździenicę siwego, drugą za powód od kobyły...

— Mam cię, jucho, złodzieju! — krzyknąłem, aż las zaszumiał.

Zapomniałem na śmierć, nieszczęsny człowiek, że kobylisko moje bojące bardzo. Jakem huknął niespodzianie, kobyła się zlękła, dalej w bok, szarpnęła się raz, drugi raz, potem dęba, potem znowu w bok, — powód się urwał i został u mnie w garści, złodziej mało nie zleciał, ale się jakoś utrzymał, — kobyła w galop... mignęła mi przed nosem — i już!

Nie trwało to nawet i minuty.

Siwy koń został przy mnie. Obudził się Icek, podniósł gwałt; myślał, że nas zbóje napadli. Krzyknąłem mu, żeby sam jechał, gdzie chce, bo ja za złodziejem gnać muszę, siadłem na siwego, przyłożyłem mu kilka kijów i poleciałem, co tchu w kiepskiej szkapinie.

Wyjeżdżam z lasu, — w polu coraz widniej, bo dnieje, widzę: złodziej wykręcił na lewo i dmie, psiakrew, jak wiatr, w stronę Tarzymiech. Mój siwy nie może zdążyć... Źle, myślę sobie, nie dogonię... A takem się zapamiętał w tej pogoni, że, gdybym tak był szelmę dopadł, — ubiłbym chyba, jak psa...

Widać, sam Pan Bóg nie chciał tego kryminału, bo siwy, choć go kijem grzałem, zwolniał całkiem... Wszystko na nic! Za drugim laskiem straciłem złodzieja z oczu. Kiedym wjechał do Tarzymiech, dzień już był biały. Ani kobyły mojej, ani żyda nikt tam nie widział.

Ano, nic nie pomoże, trzeba do Izbicy dojechać, może tam gmina i strażniki poratują.

Szkapina tyle tylko że nogami plątała. Mnie samego jakaś niemoc ogarnęła od turbacji strasznej i od tej nocnej jazdy, a jeść się chce coraz gorzej...

Wjechałem do miasteczka, rozglądam się, bo tam wszystkiego raz jeden byłem w życiu, i to jeszcze jakem był chłopakiem.

Zastąpiły mi żydy drogę na rynku.

— Zkąd wy, człowieku!

— Z daleka.

— A gdzie wy jedziecie?

— Tobie co do tego? — powiadam w złości, a oczyma wypatruję, czy gdzie strażnika nie widać.

Żydy rozstąpili się i coś szwargotać zaczęli, a palcami na mnie pokazywali, zwyczajnie jak to oni...

Już em się chciał którego o kancelarję pytać, kiedy zkądściś strażnik wyrósł, — jak z pod ziemi — i odrazu do mnie o paszport.

Zkądbym miał mieć paszport!

— Ja, panie wachmistrzu, — mówię, — zaraz wytłómaczę...

Nie dał mi nic gadać, tylko, — powiada — w gminie będziesz się tłómaczyć.

Ano, to i lepiej. Przyszliśmy do kancelarji.

Rozpowiedziałem wszystko; o mojej kobyle, o złodzieju i o siwym koniu. Słuchali ładnie, dopiero kiedym skończył, pyta się strażnik: czego ja taki oberwany!

Oberwany, to jest: niby obdarty? A prawda! Nawet sobie nie zważyłem. Przy pożarze osmaliłem sobie kapelusz i włosów trochę, a spodnie i koszulę całkiem zniszczyłem. Dopierom i o tym pożarze wszystko od początku do końca opowiedział.

A w kancelarji wszyscy w śmiech.

— Oto łże, jak najęty, — powiadają do siebie — tęgi złodziej!

Co miałem robić? Świadków z sobą nie przyprowadziłem.

Niedługo mnie tam w kancelarji trzymali, i niedługo ja na tych, co tam byli, patrzał, bo odprowadzili mnie do aresztu i zamknęli.

Że podobniejszy byłem do złodzieja, jak do uczciwego gospodarza — to święta prawda.

Dobrze, że mnie choć jeść dali. Spałem też, jak kamień. Nazajutrz zwyczajnym porządkiem odesłali mnie ze stróżem do inszej gminy, a ztamtąd do naszej kancelarji dla przekonania, czy prawdziwie mieszkanie swoje powiedziałem.

Naśmieli się też i wójt nasz, i pisarz, i całe miasto nasze śmiało się z tej omyłki. Jeden Abramek tylko, kiedym do niego przyszedł po uwolnieniu, markotny jakiś był, siwą brodę darł — i znowu mnie darmo wódką poczęstował. Dobry to żyd. Z nim jeszcze mój ojciec nieboszczyk handlował.

Kiedym do wsi przyszedł, moja kobieta mnie nie poznała, bo w okrutnej leżała gorączce. Uprosiłem starą Zalepichę: przyszła, odczyniała, zamawiała i okadzała, jak się patrzy. Może też łaska Boska ulituje się nademną, i może się kobiecisko jako wygrzebie...

Gdzie ja komorne znajdę na zimę? Z czego ja przyodziewek kupię? Trza, musi, w służbę iść albo co, bo nie wiem nawet, co robić?

Powiadają ludzie, że nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło... Boska moc wszystko może! Ale kiedy też to moje nieszczęście wyjdzie mnie na dobre?...

Żabniak.

polskich matek i będą mężczyznami całymi, tak jak one są całemi niewiastami, i przeniosą ze świata ideału, w świat praktycznej teraźniejszości to, co jest istotą polskiego narodu i jego racją bytu.“

Samobójstwo. Przedwczoraj odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru Józef Leminger, porucznik 80 pułku piechoty i komendant strzelnicy wojskowej na Kortumówce.

Zjazd przewodniczących wszystkich oddziałów powiatowych gal. Towarzystwa gospodarczego odbędzie się dnia 4 lutego br. w sali Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Celem zjazdu jest zbiorowa akcja ratunkowa pod kierunkiem centralnego Komitetu Towarzystwa gospodarczego.

„Skała“. Odczyt pana Adolfa Stronera „O powodach upadku przemysłu krajowego“ odbędzie się w niedzielę, dnia 2 lutego b. r., o godzinie 5 po południu.

Siódmy z rzędu odczyt mieć będzie w „Skale“ p. dr. Ciesielski Teofil w niedzielę d. 16 lutego p. t. „O zadaniu roślin w gospodarstwie przyrody z demonstracjami“.

Do wykonania projektu na grobowiec ś. p. marszałka dr. Zyblikiewicza, zaprosił prezydent miasta Krakowa pp. Władysława Chrośnikiewicza, Adama Trembeckiego i Józefa Kuleszę.

Dyrekcja kolei państwowej zawiadamia, że zmieniła z dniem 1 lutego br. rozkład jazdy na szlaku kolejowym Drohobycz-Borysław.

Szczegóły tego nowego rozkładu ogłoszono osobnemi afiszami.

Rozruchy młodzieży w Krakowie można uważać za skończone.

Senat akademicki uniwersytetu Jagiellońskiego wydał do młodzieży następującą odezwę:

„Poważniejsza godnie niepokoju, które w ciągu ostatnich dni zaszły w obrębie murów uniwersyteckich i po za niemi, nakłada na Senat Akademicki obowiązek odezwania się do młodzieży, w imię żywotnego interesu i dobra naszej *Almae Matris*.

Senat akademicki wzywa młodzież, ażeby zachowała i utrzymała spokój i powagę, która przystoi obywatelom akademickim i zaleca jej gorąco, ażeby wstrzymała się od naruszenia obowiązujących ustaw.

Gdy nie może być młodzieży uniwersyteckiej tajnem, że dalsze wykroczenia przeciw ustawom musiałyby nietylko na nią, ale także na Uniwersytet sprowadzić smutne następstwa, Senat akademicki ufa, że ta jego przestroga trafi do przekonania i rozwagi młodzieży naszego Uniwersytetu.

Kraków dnia 28 stycznia 1890.

Kasparek. *Korczyński.*
Prorektor Uniw. Jagiell. Rektor Uniw. Jagiell.

Ks. Knapiński dziekan Wydz. teol., ks. Pawlicki, prodziekan Wydz. teol., ks. Pelczar delegat Wydz. teol., Madeyski dziekan Wydz. praw.; Bobrzyński prodziekan Wydz. praw., Kleczyński delegat Wydz. praw., Łazarski dziekan Wydz. lek., Rydygier prodziekan Wydz. lek., Domański delegat Wydz. lek., Kreutz dziekan Wydz. filozof., Janczewski prodziekan Wydz. filozof., Rostafiński delegat Wydz. filozof.“

Młodzież uniwersytecka usłuchała tego wezwania. Wczoraj i przedwczoraj zgromadziła się jeszcze kilka razy, lecz spokój nie został nigdzie zakłócony. Uwijały się wprawdzie między akademikami osoby, co do których na pierwszy rzut oka można było odgadnąć, że nie są słuchaczami uniwersytetu, i próbowały podburzyć młodzież, lecz ona nie słuchała już wezwania tych trybunów, poszła za głosem rozsądku i wstrzymała się od wszelkich ekscesów.

Z Radymna otrzymaliśmy następujące pismo: Szanowna Redakcjo! W kronice Szan. dziennika *Przegląd* Nr. 11 z dnia 15 stycznia 1890 umieściła Szan. Redakcja notyce, zatytułowaną „Z Radymna donoszą“ etc. W ustępie tym powiedziano jest, że żydzi tutejsi nie pozwolili pochować na cmentarzu izraelickim w Radymnie zwłok żony inżyniera kolejowego Lateinera, ponieważ one w trumnie spoczywały.

Prawdopodobnie korespondent Szan. Redakcji nie wiedział o właściwym powodzie pochowania w Przemyślu zmarłej żony p. Lateinera, inżyniera i naczelnika stacji kolejowej, to też w interesie prawdy muszę doniesienie powyższe sprostować.

P. inżynier Lateiner bawił przez kilka lat w Przemyślu, jako urzędnik kolei Karola Ludwika, i pochował tamże jedynego swego maleńkiego synka. Powodowany więc myślą, aby obok drogiego mu dziecięcia także zwłoki ukochanej żony spoczęły, nie przyjął propozycji tutejszej gminy izraelickiej, by zwłoki żony w Radymnie pochować, lecz gmina ofiarowała mu grób bezpłatnie.

Więc nie chowanie w trumnie, co się zresztą od kilku lat, jak obowiązujące rozporządzenie wydano, w tutejszej gminie przestrzega, lecz pragnienie, aby zwłoki żony spoczywały w wspólnym grobie ze zwłokami dziecka, spowodowało p. inżyniera Lateinera do tego, iż pochował swą żonę w Przemyślu o 2 i pół mili od Radymna oddalonym. Z poważaniem *Adolf Reiss*, lekarz miejski i przełożony gminy izrael. wyznaniowej.

Z Podola piszą nam dnia 27 stycznia br.: Ruskie przysłowie mówi: „Z bidu odnogu budu żyty jak z sestru ridnoju, ale jak pryjde sim bid, ne ma szczo isty na obid“. Otóż dla nas, wieśniaków, sprawdziło się to przysłowie i mamy, co najmniej, siedm bied, a temi są: 1, posucha i nieurodzaj zeszłoroczny, 2. zmarnowanie bydła i nierogacizny przez zamknięcie jarmarków, 3. wybicie wielkiej liczby koni dla braku paszy, a konie te byłyby nam na wiosnę pole obrobiły, 4. brak zarobków dla klasy zarobkującej, bo każden tak większy, jak mniejszy gospodarz rolny, skulił się we dwoje i uszczypa się we wszystkiem, 5. brak kredytu i pomocy pieniężnej, bo prawdę powiedziawszy, nie ma na co długów zaciągać, 6. influenca i tyle innych chorób, które biedną ludność rolniczą na całe tygodnie czynią niezdolną do pracy, 7. wreszcie największą biedą jest licytowanie gruntów włościańskich przez Bank włościański w likwidacji. Gruntów tych nikt nie chce kupić teraz, bo nie ma pieniędzy, przejdą więc one wszystkie za bezcen w żydowskie ręce, a nieszczęśliwi dłużnicy będą zupełnie zrujnowani. Bank włościański powinien uwzględnić to przykre położenie dłużników i powinien odłożyć licytację aż do czasu, gdy będzie po żniwach a wtenczas może się spodziewać zapłaty, może nie będzie urodzajny i albo dłużnicy długu swój zaspokoić będą w stanie, albo też do licytacji staną nie tylko sami żydzi, lecz i chrześcijańscy gospodarze, którzy nie zechcą wzbogacić się krzywdą nieszczęśliwych wieśniaków i zapłacą za grunt licytowany tyle, ile on przedstawia wart.

Jest to obowiązkiem sumienia, a jeśli Bank włościański nie chce zostawić po sobie pamięci takiej jaką tylko wojna lub zaraza zostawiać zwykła, to powinien bezwarunkowo odroczyć na czas późniejszy licytacje na wiosnę rozpisane.

Rozporządzenie Bismarka. Kilka lat temu wydał ks. Bismark rozporządzenie nakazujące urzędnikom, aby się wyraźnie podpisywali na wszelkich aktach urzędowych, a niedawno rozporządzenie to było ponownie ogłoszone. Urzędnicy jednak nie bardzo stosowali się do tego rozporządzenia. W obec tego rozporządzenie ks. Bismark ogłaszać w dziennikach nazwiska tych urzędników, którzy niewyraźnie będą się podpisywać na aktach urzędowych i spodziewa się, że środek ten poskutkuje.

Pożar wagonu. Przed paru dniami doniósł nam telegraficznie nasz korespondent petersburski o spaleniu się wagonu w pociągu kolei petersbursko-warszawskiej, a dziś znajdujemy w dziennikach warszawskich bliższe szczegóły dotyczące tego nieszczęśliwego wypadku.

Pożar wznieciła iskra z pieca, która była wpadła do szpary w dachu wagonu i zapaliła tapety.

Na razie nie spostrzeżono tego. Dopiero kiedy w skutek wiatru wzmógł się ogień i objął cały dach wagonu, zauważono go i maszynista zatrzymał pociąg. Rzucono się zaraz na pomoc, ale już było za późno, albowiem od gorejącego dachu wagonu popękały przymocowane do niego lampy, płonąca nafta rozlała się i zapaliła poduszki foteli oraz dywany rozesłane na podłodze.

W wagonie tym znajdowało się czterech pasażerów, ale tylko trzech zdołało uciec. Czwarty zaś, niejaki p. Dynowski, zamknął się był w swem coupé, żeby spać wygodnie, i zasnął tak twardo, że go nie można było obudzić; więc po ugaszeniu pożaru znaleziono go już nieżywego i na pół spalonego

Szczątki wagonu i ciało nieszczęśliwego pasażera przewieziono do Petersburga, a władza wdrożyła w tej sprawie surowe śledztwo, zwłaszcza że nazajutrz spalił się znowu jeden wagon na tej samej kolei, ale tym razem na szczęście był to wagon pusty.

Zwierzchność gminy Hrehorowa przesłała nam następujące pismo:

Dnia 24 b. m. podczas urzędowania W. pana Władysława Gawińskiego c. k. komisarza starostwa w Rohatynie w celu poratowania mieszkańców wsi Hrehorowa przy panującej na teraz klęsce nieurodzaju, zgłosił się W. pan Wincenty Żelichowski właściciel obszaru dworskiego w naszej wiosce i powodowany wrodzoną swoją szlachetnością i patrjarchalną miłością dla byłych swoich poddanych, ofiarował tysiąc korcy kartofli dla naszej gminy, żądając zamiast teraźniejszej ceny 1 zł. 40 ct. za korzec, tylko po 70 centów, i to, albo w cenie po 70 ct. na odrobek, albo też kto zechce, może wziętą ilość korcy kartofli zapłacić w tejże samej cenie t. j. 70 ct. dopiero w jesieni po żniwach.

Czyn ten rzadkiej szlachetności z wielką wdzięcznością przyjęła cała gmina, upoważniając podpisanych do podania go do publicznej wiadomości. Co też czynimy ze słowami: „Bóg ci stokrotnie niechaj to nagrodzi szlachetny panie, i niech cię utrzymuje w jak najdłuższe lata w szczęściu i w miłości wdzięcznego ludu!“.

Hrehorów, powiat Rohatyński. — *Piotr Bułka*, naczelnik gminy. *Teodor Lastowiecki*, pisarz gminny.

Spór o pierwszeństwo. Podczas pogrzebu ks. Aosty Amadeusza zauważyli wszyscy, że ani księcia Hieronima Bonapartego, ani też księcia Wiktora w orszaku żałobnym widać nie było, pomimo, że wiedziano, iż obaj są w Turynie. Jeden z dzienników włoskich podaje następującą przyczynę nieobecności obu książąt: Przed pogrzebem sprzeczali się obaj, ks. Hieronim i ks. Wiktor, komu się pierwszeństwo w orszaku należy i nie mogli się porozumieć. Król Humbert dowiedział się o tem i poprosił grzecznie jednego i drugiego, aby podczas pogrzebu w domu zostali.

Teatr. Dziś we czwartek „Hugenoci“, opera w 4 aktach Meyerbeera.

Jutro w piątek po raz pierwszy „Walka o byt“ dramat w 5 aktach Daudeta.

Literatura i Sztuka.

* **Szczęście na wsi**, powieść ks. J. A. Łukaszkiewicza (Bytom, nakład wydawnictwa *Katolika*).

Autor postawił sobie za zadanie przekonać rzemieślników naszych, którzy — jak to np. przed dwoma laty piekarze we Lwowie — urządzają zmowy po wielkich miastach z powodu niedostatecznej płacy za pracę, aby zamiast tych strejków, które niezawsze prowadzą do celu, osiedlali się po wsiach i małych miasteczkach, gdzie każdy rzemieślnik znajdzie odrazu i pracę i sowitą zapłatę. Prócz żyda nie ma po tych miasteczkach żadnego dobrego rzemieślnika, a potrzeba takich ludzi jest ogromna. Ilużbyto krawców, piekarzy, szewców, zegarmistrzów znalazło na prowincji utrzymanie o wiele lepsze niż we Lwowie.

Ton tej książki, utrzymanej w formie powieściowej, jest pogodny, przyjemny, myśl zdrowa, tendencja szlachetna. Dla rzemieślników i ludu wyborna tedy książka. Cena jej 40 c., a nabywać ją można albo u autora (Ispas na Bukowinie), albo w Bytomiu (Górny Szląsk) w redakcji *Katolika*.

* **Wizerunki królów polskich.** Wiedeńska firma nakładowa Maurycego Perlesa rozpocznie wkrótce wydawnictwo galerji królów polskich. Zawarła ona już z mistrzem Matejką i drem Smolką, profesorem uniwersytetu jagiellońskiego, umowę, wedle której Matejko ma dostarczyć 50 oryginalnych rysunków przedstawiających portrety królów polskich i ważniejsze wypadki z historji polskiej, a prof. dr. Smolka napisze życiorysy.

Matejko, uznając doniosłość tego wydawnictwa, zgodził się na wykonanie tych rysunków w formacie wielkiej czwórki.

Wydawnictwo to wychodzić będzie zeszytami, a w myśl umowy zawartej z drem Smolką całość ma być ukończoną do listopada rb.

Firma Perlesa zastrzegła sobie prawo wydawania tej Galerji także w obcych językach.

* **Szematyzm** Królestwa Galicji i Lodomerji z Wielkiem Księstwem Krakowskiem na rok 1890 opuścił już prasę i jest do nabycia w handlu księgarskim.

Znakomity ten podręcznik opracowany jest z wielką starannością i zawiera jak najdokładniejszy spis wszystkich władz i urzędów tak rządowych jako też autonomicznych, zakładów prywatnych, tudzież osób we wszystkich tych urzędach i zakładach zatrudnionych.

Rozmaitości.

— **Anegdoty o dowcipnych Papieżach.** Pisma zagraniczne opowiadają, że kiedy Ojciec św. Leon XIII. był jeszcze nuncjuszem w Brukseli, pewien hrabia belgijski w czasie obiadu usiłował koniecznie wprawić go w zakłopotanie. Po nieudaniu się kilku prób, p. X. pokazał kardynałowi Pecciemu portret silnie obnażonej kobiety. Kardynał spojrzał na portret i rzekł:

— Piękna kobieta, zapewne pani hrabina?

Współbiesiadnicy parsknęli śmiechem, wiadomo bowiem było powszechnie, że pożycie małżeńskie p. X. było nieszczególne.

Kiedy Napoleon III. przegrał bitwę pod Sedanem, Papież Pius IX. miał powiedzieć: *Ah! Napoléon a perdu ses dents*!

Do Papieża Inocentego X. (w r 1644—1655) przybył pewien alchemik z propozycją sprzedaży kamienia filozoficznego, za pomocą którego możnaby robić złoto. Kiedy wspomniał o wynagrodzeniu za to, Inocenty X. wyszedł do przyległej komnaty, zkąd po chwili powrócił z workiem.

— Ależ to worek pusty — rzekł alchemik.

— Ba! — odparł Papież — skoro, mój synu, umiesz robić złoto, sądziłem, że brak ci tylko worka, którybyś niem napełniał.

Papież Benedykt XIV. (od r. 1740—1758) jednemu z prałatów powierzył dozór nad porządkami w mieście. Mimo to ulice Rzymu pełne były błota. Jadąc raz przez miasto, Papież spostrzegł owego prałata, polecił więc zatrzymać pojazd swój w miejscu, gdzie było największe błoto i przywołać prałata. Stało się to. Papież przez pół godziny rozmawiał nader wesoło z prałatem, który musiał stać w kałuży. W przeciągu kilku dni porządek na ulicach był wzorowy.

— **Z Ceylonu** nadeszła wiadomość o zgonie słonia, nazwiskiem Sella, który pozostawał w służbie rządowej przez 65 lat. Sella należał niegdyś do ostatniego króla Kandy, Wikrema Raja Singha i był jednym z owej setki słoniów, które z upadkiem kandyckiej dynastji w roku 1815 dostały się w posiadanie rządu angielskiego. Utrzymują, że Sella miał już wówczas 15 lat, ale to nie jest rzeczą pewną. Dwaj jego koledzy, z którymi zwykle wspólnie pracował, nie żyją już od lat 25. Sella należał do urzędu robót publicznych i gdy rząd angielski w roku 1880 postanowił sprzedać wszystkie słonie, dostał się przez licytację pewnemu miejscowemu przemysłowcowi. Było to nadzwyczaj posłuszne, pojętne i pracowite zwierzę. Jeszcze przed trzema laty brał Sella udział w polowaniach na dzikich swoich współbraci i słynął z tego, że umiał je ułaskawiać i przyciągać za sobą. Pod koniec życia oślepł, mimo to pracował na roli do ostatnich dni.

— **W Londynie** kobietom niewolno było niegdyś występować na scenie, role niewieście odgrywali przebrani mężczyźni. — Razu pewnego, kiedy Karol II niecierpliwił się, że widowisko się spaźnia, wystąpił dyrektor teatru i tłumacząc się rzekł: „Królowa jeszcze się goli.“

Część ekonomiczna.

Wiedeń 28 stycznia.

(*Z*) Spekulacja zajmowała się dziś bardzo Staatsbahnami. Spadły one dziś znowu w kursie, a to skutkiem artykułu zawartego we wczorajszej *Wiener Abendpost*, w którem powiedziano jest, że państwo ściślej będzie w przyszłości kontrolować bilanse Staatsbahnu.

Na inne papiery łagodniejszym okiem patrzyła giełda dzisiejsza, i zwłaszcza przed południem okazywała silną tendencję zwyżkową. Najbardziej szły w górę Länderbanki, gdyż mówiono wiele o nowych korzystnych interesach tego instytutu, a mianowicie, że finansuje on papiery wielkiego niemieckiego przedsiębiorstwa górniczego i t. d. Anglosy i Uniony dążyły także ku zwyżce, lecz już nie tak żwawo jak Länderbanki. Kredyty trzymały się doskonale, a jakkolwiek kurs ich nie podniósł się, to jednak można ich było na tysiące sprzedawać bez obawy, iż kurs skutkiem tego zachwianym zostanie. Zniżka Staatsbahnów dotknęła także inne papiery transportowe, zwłaszcza Lombardy, które spadły w kursie. Najdzielniej trzymały się dziś renty i przy zamknięciu giełdy uzyskały one najwyższy kurs. Szczególnie węgierską rentę złota zakupywano w olbrzymich partjach.

Dewizy i waluty zdradzały z początku bardzo słabe usposobienie, później poprawiły się cokolwiek.

Oto ostateczne notowania:

Kredyty austrjackie 325·—, węgierskie 349·50, Anglobanki 167·50, Uniony 261·10, Bankvereiny 124·50, Länderbanki 238·30, Ludwiki 187·— Czerniowieckie 234·50, Renta papierowa 88·50, srebrna 88·60, austrjacka złota 109·60, papierowa 101·70, węgierska złota 103·35, papierowa 99.35. Ruble 1·29.

Ostatnie wiadomości

Z Brodów nam donoszą, że nadeszła tam wiadomość z Radziwiłłowa, iż rząd rosyjski nakazał wszystkim Polakom i katolikom, mieszkającym w pasie granicznym, wynieść się z tego pasa w ciągu dni czternastu.

Wierzyć nie chcemy tej potwornej wiadomości, ale ją nam komunikuje osoba poważna.

Telegramy „Przeglądu“.

Kraków 30 stycznia (pryw.) P. Namiestnik Badeni przybył tu dziś rano z Wiednia, a wieczorem odjeżdża nocnym pociągiem do Lwowa.

Petersburg 30 stycznia (pryw.). Dzienniki tutejsze utrzymują, że powodem paniki, która takie spustoszenia porobiła na giełdzie berlińskiej w zeszłą niedzielę, nie były wcale zmowy górników, lecz że te zmowy były tylko pretekstem, a raczej maską do zakrycia właściwego powodu owego małego krachu. Powodem zaś tym właściwym było to, że giełdziarze berlińscy umówili się byli z paryskimi w listopadzie jeszcze o to, że w styczniu dostarczą im rubli rosyjskich po kursie 206 do 207 marek. Liczyli oni na to, że budżet rosyjski na rok 1890 okaże znaczny deficyt i stąd przypuszczali, że ruble będą stały znacznie niżej, a zatem, że sprzedając je po 207 marek zrobią doskonały interes. Tymczasem budżet rosyjski wypadł świetnie, a ruble poszły na 225 do 227 marek, czyli, że berlińscy giełdziarze musieli zapłacić różnicę wynoszącą po 20 marek na sto rubli. Proponowali tedy paryskim finansistom o zgodzenie się dobrowolne na 10 marek nadpłaty, ale Paryż odmówił. Wtedy, żeby sprostać zobowiązaniom, musieli wyprzedawać wszystkie miejscowe papiery, aby mieć gotówkę na zakupno rubli. A ponieważ zobowiązania te sięgały na przeszło miljard rubli, przeto można sobie wyobrazić, jakie masy papierów musieli finansiści berlińscy rzucić na targ, żeby zdobyć gotówkę mogącą wyrównać różnicę kursu rubla między 207 a 227 marek.

Dzienniki dodają, że lepiej i świetniej nie mógł się zemścić minister Wyszniehradzki na giełdzie berlińskiej za jej antirublową kampanję.

Na wczorajszym balu dworskim w Pałacu Zimowym było 2.000 osób. (Z tego się okazuje, że dwór rosyjski nie przywdział żałoby po cesarzowej Auguście. Przyp. Red.).

Dzienniki zamieszczają ogromne nekrologi o zmarłym jenerale Radeckim, „bohaterze z pod Szypki“.

Synod ponowił zakaz używania do świec cerkiewnych innego wosku prócz z pszczół.

Ministerjum handlu ma wydać ustawę zakazującą aptekom sprzedaż kosmetyków.

W Bijsku, na Syberji, odkryto nową rudę złota, niesłychanie bogatą.

Wiedeń 30 stycznia. Z powodu rocznicy śmierci następcy tronu arcyks. Rudolfa zamieszczają wszystkie dzienniki tutejsze artykuły, w których rzewnemi słowy wspominają o rzadkich zdolnościach zmarłego i podziwiają wzniosłe poświęcenie się monarchy, który nawet w niewysłowionem cierpieniu ojcowskiem nigdy nie zapomniał o świętych obowiązkach władzcy.

Wiener Zeitung ogłasza: Cesarz zamianował biskupa polnego, dra Gruszę, arcybiskupem wiedeńskim.

Dzienniki donoszą o rozruchach między robotnikami szklarskimi w powiecie Gablonz. 500 tych robotników zburzyło kilka szlifowni w Neudorf i Wiesenthal. Przeciw ekscedentom wystąpiło wojsko. Dwóch ekscedentów zabito, a wielu raniono.

Wczoraj wieczorem wyruszyło wojsko z Reichenbergu do miejsc zagrożonych przez te ekscesy.

Wiedeń 30 stycznia. Cesarz udał się rano do tumu w kościele Kapucynów i zabawił dość długo koło trumny arcyksięcia Rudolfa, a równocześnie Cesarzowa z arcyksiężną Walerją były na cichej mszy odprawionej w kaplicy św. Józefa w Burgu. Reszta członków cesarskiej rodziny była na mszy żałobnej w kaplicy dworskiej.

Około godz. 10 przed południem udał się Cesarz z Cesarzową i arcyksiężną Walerją do Mayerlingu, gdzie w nowo wybudowanej kaplicy wysłuchali żałobnej mszy.

Cesarski grobowiec w kościele Kapucynów obity był kirem, a na trumnie Arcyksięcia Rudolfa złożono wielką liczbę wieńców; między nimi złożyła wieniec Arcyksiężna-wdowa Stefania i córka Arcyksiężna Elżbieta.

Z Węgier donoszą, że wszędzie na prowincji odbyły się żałobne nabożeństwa.

Wiedeń 30 stycznia. *Pol Corr.* dowiaduje się, że czarnogórski minister spraw zagranicznych Wukowic, który w przejeździe swym do Belgradu przez dwa dni w Wiedniu bawił, miał długą konferencję z Szoegeny'im i był na audjencji u hr. Kalnokyego.

Z polecenia cesarza Wilhelma złożono dziś wieniec na trumnie arcyks. Rudolfa. Także liczne stowarzyszenia i korporacje złożyły wieńce na trumnie.

Budapeszt 30 styczn. Sejm węgierski uchwalił z powodu rocznicy zgonu arcyks. Rudolfa nie odbyć dziś posiedzenia.

Budapeszt 30 stycznia. Z powodu rocznicy śmierci Arcyksięcia Rudolfa odprawiono wczoraj we wszystkich tutejszych kościołach żałobne nabożeństwo przy licznym udziale ludności, a również i na prowincji odbyły się podobne nabożeństwa. Wszystkie teatry były wczoraj zamknięte.

Bukareszt 30 stycznia. Na wczorajszem posiedzeniu izby zaczęto czytać referat komisji, wysadzonej z łona izby, dla wniosku o postawienie w stan oskarżenia gabinetu Bratiana, a dziś, skoro tylko skończy się czytanie tego referatu, przystąpi izba do specjalnej debaty. W rozmaitych grupach parlamentarnych podzielone są zdania, jedni bowiem oświadczyli się za wnioskami referatu, podczas gdy inni posłowie są tym wnioskom przeciwni.

Sofja 30 stycznia. *Agence balcanique* zaprzecza wiadomości, podanej przez *Temps*, jakoby Bułgarja zamierzała zaciągnąć nową pożyczkę celem całkowitego spłacenia rosyjskich kosztów okkupacyjnych.

Paryż 30 stycznia. Na wczorajszem zgromadzeniu wyborców w Boulogne bulanżysta Laur dostał w twarz od posła Lisagaray'a.

Powodem tego policzka była mowa Laura w duchu antisemickim. Zgromadzenie skończyło się wśród ogólnej bójki. Bulanżyści Laguerre, Laisant i Millevoye odjechali do Jersey na konferencje z Boulangerem. Kwestja, jakie stanowisko zajmie bulanżystowski komitet narodowy w obec antisemityzmu została odroczoną.

Budapeszt 30 stycznia. Prawie wszystkie dzienniki węgierskie, tak tutaj jak i na prowincji, zamieszczają, z powodu rocznicy śmierci Arcyksięcia Rudolfa, patrjotyczne artykuły, w których podnoszą siłę ducha i poczucie obowiązków Cesarza, zarazem wyrażają wdzięczność narodów i wskazują na to, że narody dążą teraz w Austrji do zawarcia między sobą pokoju.

Paryż 30 stycznia. Na zapowiedziane ogólne zgromadzenie republikanów przybyło 200 uczestników. Zgromadzenie przyjęło wniosek, że republikanie zbierać się mają każdej ostatniej środy w miesiącu celem omawiania spraw będących na porządku dziennym i powzięcia uchwał. Jako główną podstawę programu przyjęło zgromadzenie utrzymanie w mocy i należyte zastosowanie ustawy wojskowej i szkolnej, tudzież obronę najwyższej władzy ludu przeciw wszelkim zwolennikom monarchji, cesarstwa lub dyktatury.

Koła parlamentarne są zdania, że zgromadzenie to zrobiło fiasco.

Durham 30 stycznia. Zgromadzenie centralnego biura narodowego związku robotników górniczych powzięło jednogłośnie rezolucję, postanawiającą odbyć w drugiej połowie maja międzynarodowy kongres w Belgji.

W drugiej rezolucji potwierdzono poprzednią uchwałę, odrzucającą wszelkie zapewnienia, któreby miały obowiązywać robotników górniczych.

Paryż 30 stycznia. Znajomi pułkownika Stoffel rozgłaszają, że wyda on wkrótce broszurę o możliwości francusko-niemieckiego aljansu. Stoffel żąda w swej broszurze zwrotu Alzacji i Lotaryngji i wspólnej akcji Francji i Niemiec wobec niebezpieczeństw grożących od żywiołu słowiańskiego.

Waszyngton 30 stycznia. Prezydent Harrison przyjął wczoraj posła brazylańskiego Valente i specjalnego wysłańca Mendoncę. Przez to uznał rząd Stanów Zjednoczonych formalnie rzeczpospolitą brazylijską. Przyjęcie było serdeczne. Harrison wyraził swe zadowolnienie z powodu, że zmiana rządu w Brazylji odbyła się pokojowo i zapewnił, że będzie się starał żyć zawsze w przyjacielskich stosunkach z rządem brazylijskim.

Nadesłane.

Przyjechali do Lwowa

30 stycznia 1890.

HOTEL GEORGA. M. Komarnicki z Jarosławia. A. hr. Starzeński z Dąbrówki. T. Horodyski z Komarowa. L. Rychlicki z Nowoszyc. Z. hr. Tyszkiewicz z Meryni.

HOTEL ANGIELSKI. B. Orzechowicz z Kalnikowa. A. Kulczycki z Nowosiółek. W. Barański z Łukawicy. M. Halpern ze Stanisławowa. J. Harasimowicz z Turza.

Z zbożowych targów.

30 stycznia	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	8 75 – 9 60	8 50 – 9 50	8 40 – 9 20	8·90 – 9 70
Żyto	7 5 — 8 10	7.25 – 7 85	7 10 – 7 7	7 65 – 8 30
Jęczmień	6 25 – 8 5	6 — – 8	6 — – 8.—	6 75 – 8 70
Owies	7 50 – 8 —	— — – 7 50	7 50 – —	7 25 – 8 —
Groch	6 75 – 13 —	50 – 11 —	6 — – 12 —	7 — – 12
Wyka	5 50 – 6	4 80 – 5 25	0 — – 0.—	— – —.—
Rzepak	15 50 – 16 5	15 — 16 —	15.— 16 —	15 65 – 16·75
Lnianka	—	—	—	—
Konic. czer.	49 – 65	48 – 64	48 – 63	50 – 65
Konic. biała	— – —	— – —	— – —	— – —
Konic. szwed.	— – —	— – —	— – —	— – —

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Rzepak poszukiwany.

Lwów. Z Izby handlowej 30 stycznia 1889

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	186	—	189	—
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	233	50	236	50
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	297	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	216	—
2. Listy zastawne za 100 złr.				
Banku hyp. galic 5 prc. w. a.	101	15	102	15
6% Listy zastaw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 lat.	—	—	—	—
Banku hyp. galic. 5 prc. 10% pr.	105	—	106	—
Banku krajowego 4½% wa.	98	35	99	35
Tow. kred. galic. 5 „ „	101	60	102	60
„ „ „ 4 „ „	97	—	98	—
„ „ „ 5 „ „ los w 37. l.	101	60	102	60
„ „ „ 4 „ „ „ „ 41½	94	40	95	40
„ „ „ 4 „ „ „ 52 l.	99	60	100	60
„ „ „ 4 „ „ „ 56 „	93	40	94	40
3 Listy dłużne za 100 zł.				
G. Z. kr. wł. (d 6%) 3% w likw.	55	—	58	—
„ „ „ „ (d) 5 2	6	—	49	—
4 Obligi za 100 zł.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	—	105	—
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	100	50	101	50
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	104	—	106	—
„ „ „ 1883 4 „	97	25	98	25
Galic: fund. propinacyjnego 4% „	91	60	92	60
5. Losy:				
Losy miasta Krakowa	23	—	25	—
„ „ Stanisławowa	—	—	36	—
6 Monety				
Dukat holenderski	5.47		5.57	
Dukat cesarski	5.54		5.64	
Napoleondor	9.35		9.45—	
Półimperjał rosyjski	9.65		9.75	
Rubel rosyjski srebrny	1.32		1.42	
„ „ papierowy	1.28¼		1.30¼	
100 marek niemieckich	57.55		58·55	

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 30 stycznia godz. 1. min. 45

Akcje kredyt.	325.15	Węg. kolej półn. wschodn.	191.25
Alpiny	109.25	Wiedeńskie losy kom.	142.50
Kredyty węg.	349.—	Akcje tyton.	117.—
Anglobanki	16 10	Gal.obl.indem.	104.75
Uniony	262.—	Elbethale	220.—
Ludwiki	188.50	Länderbanki	240.10
Nordbany	261.—	Renta zł. węg.	103.45
Lombardy	136.25	Bankvereiny	124.75
Losy tureckie	37.10	Renta weg. pap.	99.55
Staatsbahny	216.50	Ruble	129.15
Czerniowieckie	235.—		

Usposobienie spokojne.

Pociągi kolejowe

Podług zegara lwowskiego (Od 1 października 1889.)

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg posp. lub kurjer	Pociąg osobowy	Pociąg osobowy	Pociąg mięszany
Z Krakowa	5·8	8 50	9 28	7·15
Z Podwołoczysk	2 20		3·15	7·00
Z Podwołoczysk na Podzamcze	2 02	10	2·38	6·22
Z Suczawy, Czerniowiec Husiatyna i Stanisławowa	8.05	2—		
Z Suczawy, Czerniow. i Stanisł.		6·55		
Z Suchej, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa i Stryja		8·36		
Z Suchej, Chyr. Ław. i Stryja		8·26		
Z Peszta, Ławocznego, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa i Stryja		12·08		
Z Bełzca (Tomaszowa)				5·21
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	2·28	4·20	7 20	8 30
Do Podwołoczysk	4·11		9 52	10·35
Do Podwołoczysk z Podzamcza	4 22	7·—	10·23	11·05
Do Suczawy Czerniowiec Stanisławowa i Husiatyna	9 16	10·13		
Do Stanisławowa, Czerniowiec i Suczawy		4·25		
Do Stryja, Stanisławowa, Husiatyna, Chyrowa i Suchej		8·45		
Do Stryja, Chyr. Ław. i Suchej		10·30		
Do Stryja, Stanisławowa, Husiatyna, Ławocznego, Peszt., Chyrowa, Stróża		5·50		
Do Bełzca (Tomaszowa)				7·43

Uwaga: Godziny drukowane kursywą, oznaczają porę nocną od godziny 6 wieczór do 5 m. 59 rano.

41)

CZERWONA DAMA.

Powieść z francuskiego.

(Ciąg dalszy.)

Jottrat, przejęty trwogą, nie miał już dosyć zimnej kwri ażeby liczyć kroki, lecz zauważył mimo to, że dźwigający go często kołują, a za każdym razem przy tem kołowaniu zatrzymywali się przez kilka sekund. Pan de Noreff szedł ciągle za nimi, ale od czasu tego marszu nie wyrzekł ani słowa.

Orszak ten był milczący, jak gdyby żałobny.

Jottrat zaczął doznawać ogromnego znużenia. Mimo zręczności tych, którzy go nieśli ostrożnie, członki jego jednak zbyt długo były w naprężeniu. Zdawało mu się, że mu w kryżach trzeszczy i że mu się nogi wydłużają niezwykle.

Teraz znowu uczuł, że go znoszą ze schodów, i że cel podróży tej podziemnej bliski.

Mimo cierpień, policzył dwadześcia dwa wschody.

Przy dwudziestym trzecim zatrzymali się, i teraz posłyszał on po raz pierwszy głos pana de Noreff, który wydawał rozkazy.

— Oto i mój wyrok śmierei — pomyślał — bo doszliśmy pewnie do furty więzienia, w którem każą mi zginąć powolnie.

Czekał, rychło posłyszy zgrzyt zamykanych drzwi, gdy tymczasem posłyszał tylko lekki szelest drzewa posuwającego się po drzewie, niby ściany zasuwającej się na ścianę, jak to się praktykuje z kulisami. A równocześnie spostrzegł, że go umieszczają na jakiemś bardzo szerokiem siedzeniu, prawdopodobnie na fotelu; chwilkę zaś potem uczuł się podniesionym niewidzialną siłą i kołysanym w próżni. Pojął, że go spuszczają na dół za pomocą odpowiedniego mechanizmu. Rzeczywiście też, po upływie minuty zaledwie, lekkie uderzenie uprzedziło go, że fotel dotknął się ziemi. Głos zaś z góry krzyknął nań:

— Wstań pan i chodź!

Jottrat posłuchał machinalnie, o tyle przynajmniej, o ile mógł posłuchać. Powstał i stanął, ale nie mógł zrobić kroku naprzód, ponieważ powrozy ściskały mu ręce i nogi. Nieznaczny prawie szelest obracanej śruby pozwolił mu się domyślić, że fotel wciągają do góry.

Wszystko zdawało się skończonem. Zapewne zamkną pułapkę i zapieczętują na wieki grób, w którym go zostawiono. Nieszczęsny nie mógł mieć nawet tego promyka nadziei, jakim się pociesza każdy inny więzień, to jest: nadziei ucieczki. Co począć, ażeby uciec, gdy się ani nie widzi swej nory, ani ruszyć się nie można, ani zawołać o pomoc?

Dziwiło go tylko, dla czego go nie zabijają od razu, albo, jeżeli ma umrzeć powolnie, dla czego nie uwalniają go ze sznurów, które tylko śmierć jego przyśpieszyć mogą.

Grobowe milczenie zaległo naokoło niego. Nie słyszał nawet szelestu klapy, która zapewne zamykała to sklepienie, ani odgłosu kroków swych morderców. Cały ten piekielny orszak ulotnił się gdzieś, jak widziadło.

Oddychał powietrzem ciepłem, a nogi jego dotykały ziemi, nie czuły żadnej nierówności. Milczenie tu zapanowało bezwarunkowe, milczenie próżni i nicości!

Jottrat, zrozpaczony, nie próbował już walczyć ze swem przeznaczeniem. Nogi zachwiały się pod nim i upadł na ziemię na tem miejscu, na którem powstał ze swego fotelu. Położył się, ażeby umrzeć.

Sznury ściskające go dolegały mu straszliwie; ramiona, związane przy piersi, cierpły i martwiały; a nogi, ściśle jedna z drugą związane, zaczęły mu puchnąć. Knebel też przy ustach zaczął mu tamować oddech, a w końcu musiał doprowadzić do uduszenia.

Myśl ta przeniknęła nagle mózg jego i wydała mu się pocieszającą. Chciał przyśpieszyć tę chwilę i obrócił się ustami ku ziemi, przytrzymując oddech. Lecz tylko przyśpieszył swoje omdlenie, straciwszy wszelką świadomość swego stanu.

Chwilami wydawało mu się, że usypia na swojem łóżku, poczem mimowolne poruszenie wywoływało wrażenie tysiąca ukłuć igłą, ukłuć zagłębiających się w jego ciele. Nareszcie zapadł w głębokie bezczucie, które nie było ani zemdleniem, ani snem. Nie spał, nie stracił przytomności; był unicestwiony. Dziwny ten stan trwał jeszcze czas jakiś. Jak długo, nie był zdolnym ocenić. Czasami zdawało mu się, że jakieś ręce się go dotykają; lecz nic już nie pamiętał od czasu, gdy upadł na ziemię. Nagle dźwięk głosu doszedł jego uszu.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fjałkowskich w Białej. Z drukarni nar. Manieckiego. — Zarządca Walenty Hodak.